



# *Marion Lennox*



# *Hotel nad laguną*

Tytuł oryginału: A Special Bund of Family



# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Gdy o pierwszej w nocy rozległ się dzwonek do drzwi, Dominie Spencer wściekłym gestem cisnął pecynę niewyrośniętego ciasta do pojemnika na śmieci. Przecież wszyscy wiedzą, że ten wieczór planował spędzić w domu! Pacjent?

Alleluja, pomyślał, wybiegając do holu, żeby otworzyć drzwi. Tylko bez żartów.

Sprawa okazała się nader poważna.

Na werandzie stała kobieta w ubłoconym poszarpanym ubraniu. Ile miała lat? Dwadzieścia, trzydzieści? Nie potrafił określić jej wieku. Była średniego wzrostu, drobnej budowy, w wiatrówce umazanej błotem i krwią. Na jednej nogawce dżinsów widniała wielka krwawa plama. Miała mokre kasztanowe włosy i wielkie przerażone oczy. Długie krwawiące zadrapanie od skroni aż do brody.

Trzymała na rękach najbrzydszego psa pod słońcem. Buldog? Jego groteskowo opasłe cielsko zwisało z jej rąk bezwładnie.

– Dzięki ci, Panie... – jęknęła, nim zdążył się odezwać. Podała mu psa, po czym zatoczyła się jak pijana. Gdy przejął od niej zwierzaka, osunęła się na podłogę werandy, ukrywając twarz w dłoniach.

Ustalić priorytety, pomyślał, nie wypuszczając psa z objęć. Najpierw ona, potem pies.

Strugi deszczu zacinającego od wschodu zaczęły zalewać próg, więc ostrożnie położył na wycieraczkę psa, który legł jak worek z wodą, ale dla lekarza najważniejszy jest człowiek.

– Co się stało? – Chwycił kobietę za nadgarstek, by policzyć puls. Zdecydowanie za szybki. Gdy przyklęknął obok niej, zwymiotowała.

– Ratuuj... – wykrztusiła.

Sięgnął po walające się na werandzie wiaderko, ale okazało się niepotrzebne. To znaczy, że to nie pierwszy atak nudności.

Uważnie się jej przyglądał. Klęczała, więc rana na kolanie nie jest poważna. Zadrapanie na twarzy też niegroźne. Swobodnie poruszała ramionami. Doszedł więc do wniosku, że nie doznała istotnych obrażeń.

Może ma torsje z wyczerpania. Gdyby jemu przyszło dźwigać taki ciężar, też by wymiotował.

Nie był pedantem, sprzątanie zajmowało ostatnie miejsce na jego liście priorytetów, więc na poręczy werandy nadal wisiały nieuprzątnięte ręczniki, teraz kompletnie nasiąknięte wodą. Odczekał, aż nieznajoma przestanie wymiotować, żeby jednym z nich otrzeć jej twarz z błota i krwi. Potulnie poddała się temu zabiegowi. To wyczerpanie.

– Wejdźmy do środka.

Popatrzyła na niego półprzytomnym wzrokiem, jakby dopiero teraz go zobaczyła.

– Gdzie... ? Dokąd... ?

– Jestem lekarzem. – Przypomniwał sobie o profesjonalnym uśmiechu przeznaczonym dla pacjentów. – Domyślam się, że przeczytała pani tabliczkę na bramie. Nazywam się Dominic Spencer. Proszę mi mówić Dom.

– Dominic – powtórzyła głucho.

– Dom brzmi lepiej. A pani?

– Erin Carmody.

– Co cię boli?

– Wszystko. – Zabrzmiało to jak zawodzenie, a z doświadczenia wiedział, że konający pacjenci nie zawodzą.

– Coś konkretnie?

– Nie...

– Co się stało? – powtórzył.

– Skasowałam samochód.

Gdzie? O tej porze drogi w okolicy są puste.

– Czy jeszcze ktoś ucierpiał?

Pokręciła głową

– Nie. Jechałam sama.

– Blokuje drogę? Wezwać lawetę, żeby go ściągnęła?

– Nie.

– W porządku. Wejdźmy do domu, obejrzę cię lepiej.

– Nie wypada... – Mówiła z trudem, a w jej spojrzeniu wyczytał strach. –

O tej godzinie...

Spoglądało na niego dwoje przerażonych oczu.

– Rozejrzyj się. – Wskazał na bałagan panujący na werandzie: wiaderka, łopatki, trójkołowy rowerek, stertę ręczników. – Mam dzieci, a oprócz tego jestem lekarzem. Nic ci u nas nie grozi.

– Pies...

– Psa też nic złego tu nie spotka – mruknął. – Jesteście pod dachem godnego zaufania doktora Spencera.

Uśmiechnęła się blado.

– Powiedziałeś to tak, jakbyś żałował, że nie jesteś casanową.

– Spuśćmy zasłonę milczenia na moje aspiracje – zachnął się. – Erin, nie opieraj, się... wniosę cię do domu. Raz, dwa, trzy. – Wziął ją na rękę, nim zdążyła zaprotestować.

Ma więcej niż dwadzieścia lat, może nawet dobiega trzydziestki. Delikatne zmarszczki wokół oczu. Od uśmiechania się czy z powodu zmartwień? Nie, od uśmiechania. Oraz piękne oczy, wargi i nos.

Mało ma to wspólnego z rzeczową oceną stanu pacjenta. Przywołał się do porządku.

Przemówiła, gdy przeszedł nad psem na wycieraczce.

– Pies... – szepnęła. – Postaw mnie.

– Najpierw zajmę się tobą, potem nim. – Wcale by się nie zdziwił, gdyby pies tego nie doczekał. Od kiedy go położył, zwierzę ani drgnęło.

Teraz jednak musi zbadać Erin. Wymiotowała, więc należy sprawdzić, czy nie doznała poważnych obrażeń wewnętrznych. Stanowczym krokiem ruszył do salonu, gdzie czekając, aż ciasto... nie urośnie, czytał na kanapie przed kominkiem.

Zaprotestowała ponownie, gdy kładł ją na kanapę.

– Nie mogę... Żona... Pobrudzę... – mówiła słabym głosem. Nie miała siły się sprzeczać.

– Ja mam dzieci – wyjaśnił. – Już dawno przestaliśmy się przejmować takimi drobiazgami. Teraz cię obejrzę.

W lepszym świetle zorientował się, że jej rany są wyłącznie powierzchowne.

– Mogę cię rozebrać? – zapytał, spodziewając się protestu, ale ona popatrzyła na niego przez dłuższą chwilę, zapewne rozważając jego wcześniejsze zapewnienia. I najwyraźniej uznała, że więcej w nim tatusia niż casanowy. Bez słowa pokiwała głową, pozwalając mu zdjąć z siebie kurtkę i dzinsy.

Pod spodem miała bieliznę z delikatnej koronki. To wyschnie szybko, pomyślał. Otulił ją moherowym pledem, a po chwili poczuł, jak nieco się odpręży pod wpływem ciepła. Ponownie sprawdził puls. Stawał się coraz silniejszy i bardziej miarowy.

– Z daleka niosłaś tego psa? – Obmacywał jej ramię, obserwując jej reakcję. W porządku.

– Kilka mil – odpowiedziała, dopiero gdy zajął się drugim ramieniem. – Tu jest kompletne odludzie.

– Bombadeen nazywasz odludziem? – oburzył się. – Bombadeen to pepek cywilizowanego świata.

– Jasne. – Zdobyła się na uśmiech. – Nie musisz badać mi nóg. Myślisz, że bym go tu przydźwigała, gdybym miała złamaną nogę?

– Pałce stóp?

– Też w porządku.

Ale nie do końca. Prawa stopa, ta w adidasie, nie budziła zastrzeżeń, ale gdy z lewej ściągnął strzępy skarpetki, okazało się, że w zakrwawionej podszwie tkwią wbite głęboko w ciało kawałki żwiru.

Nie stanowią zagrożenia życia. Idźmy dalej.

– Brzuch.

– Obolały – przyznała się. – Od torsji. Nie, nie uderzyłam się w klatkę piersiową ani w jamę brzuszną. Sądzę, że śledziona i nerki też nie ucierpiały. Oddycham swobodnie.

Zna się na medycynie? Uśmiechnął się, ale wołał sam się upewnić. Dotknął jej brzucha, nie spuszczać wzroku z jej twarzy.

– Naprawdę nic mi nie jest.

– Dawno tak dobrze się nie czułaś. – Na moment się zrelaksował, ale tylko na moment. – Miałaś wypadek. Jesteś pewna, że nikt inny nie ucierpiał?

– Byłam tam tylko ja.

– Oraz twój samochód. Na pewno nie blokuje drogi? Mam wezwać pogotowie drogowe, żeby go ściągnęli?

– Leży daleko od drogi – mruknęła. – A nawet gdyby leżał na drodze, to chyba nie trzeba by go usuwać. Poza autem, przez które się rozbiłam... nawet się nie zatrzymało... przez całą podróż nikogo nie widziałam.

W ciepłe jej policzki powoli nabierały koloru. Należałoby zająć się tą stopą i zadrapaniami, ale skoro taki kawał niosła psa, to chyba jej na nim zależy.

– Zaczekaj chwilę, sprawdzę, jak się ma twój pies.

– Myślę, że kona. – Zamknęła oczy. – Ruszał się, kiedy go podnosiłam, nawet zapiszczał, ale nie stawiał najmniejszego oporu.

– Zobaczę, co się da zrobić. – Poglądził ją po policzku, by dodać jej otuchy. – Nie wstawaj. – Szczelniej opatulił ją pledem, dorzucił drewna do kominka i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Czuł na plecach jej wzrok. Chyba bardzo kocha to monstrum, bo inaczej nie niosłaby go taki szmat drogi. Byłoby dobrze, gdyby mógł coś zrobić, ale, jak sama zauważyła, pies ledwie żył.

Zwierzak nadal leżał bez ruchu. Dominic zapalił światło i pochylił się nad nieruchomym cielskiem. Pies żył i był przytomny. Miał ogromne oczy, które spoglądały na niego niemal błagalnie.

– Hej – powiedział, drapiąc psa za uchem. – Nie bój się.

Polubił tego grubasa od pierwszego wejrzenia. Mieszaniec buldoga i jeszcze czegoś. Pół-buldog, pół-kundel? Kwintesencja brzydoty. Kropka w kropkę Winston Churchill bez cygara.

Ale nie było mu do śmiechu, bo sytuacja była dramatyczna. Uprzytomnił sobie, że w odróżnieniu od chorych ludzi chore psy mają skłonność do kąsania. Ten jednak nie miał siły kąsać, ale Dominic wyczuł, że nawet zdrowy, musiał być stworzeniem łagodnym.

On cierpi. Dlaczego się nie rusza?

Najwyraźniej długo szorował po nawierzchni, bo całe cielsko miał poranione płytszymi i głębszymi zadrapaniami. Jego pani jest w znacznie lepszym stanie.

Jakie obrażenia sprawiają, że pies się nie rusza?

W pierwszej chwili położył go na wycieracze łapami do ściany, teraz więc ostrożnie odciągnął wycieraczkę tak, żeby móc je dokładnie obejrzeć. Złamana łapa wyjaśniłaby taki bezruch. Wszystkie łapy okazały się zdrowe. No nie! Nareszcie jakaś konkretna informacja o pacjencie. To jest ona!

– Jak on się wabi? – zawołał w stronę salonu.

– Nie wiem – odpowiedziała niewyraźnie, a on pomyślał, że należałoby podać jej środek przeciwbólowy.

W tej samej chwili dostrzegł, jak przez bezwładne ciało przebiega skurcz. Ten okrucieństwo informacji nagle wszystko wyjaśnił. To nie jest zapasiony pies, ale suka w zaawansowanej ciąży, a właściwie w trakcie porodu.

Fantastycznie, pomyślał. Pół godziny wcześniej konał z nudów, a teraz na kanapie ma ranną kobietę, a na wycieracze w holu rodzącą sukę, która może zdechnąć, jeśli on jej nie pomoże, bo ostatni weterynarz wyniósł się z Bombadeen w roku 1980. Na cmentarz.

Musi się dowiedzieć, co się stało.

– Powiedz mi... – zaczął, ale na widok twarzy Erin wycofał się po torbę lekarską. – Przepraszam – kajał się, klękając przy kanapie. – Zapatrzyłem się na psa. Podam ci coś przeciwbólowego. Jesteś na coś uczulona?

– Nie, ale...

– Źle reagujesz na morfinę?

– Nie, ale...

– Wobec tego uwolnimy cię od bólu.

– Nie potrzebuję morfiny.



- Chyba mi nie powiesz, że nic cię nie boli?
- Boli – przyznała po chwili.
- Zapukałaś do drzwi lekarza. Zapewne w poszukiwaniu pomocy medycznej.
- To był pierwszy dom, odkąd wyjechałam z buszu. Jak zobaczyłam tabliczkę... Szukałam pomocy dla psa.
- Nie jestem weterynarzem, ale zrobię wszystko, żeby jej pomóc, mimo że...
- Jej?
- Tak, jej. Ale ty jesteś pierwsza w kolejce. Podam ci też środek przeciwwymiotny. – Spojrzała na strzykawkę, skrzywiła się, po czym przytaknęła. – Wykazałaś się wielką odwagą – dodał, dezynfekując jej udo. – Muszę wracać do psa, ale najpierw powiedz, co się wydarzyło.
- Jadę do Campbelltown. – Zamknęła oczy, gdy wbijał jej igłę, ale szybko je otworzyła. – Już? Nic nie bolało.
- Masz do czynienia z lekarzem. Opowiadaj. W dalszym ciągu miała trudności z mówieniem.
- Zboczyłam z szosy do Campbelltown, bo coś jeszcze musiałam przemyśleć. Nie znałam tej nowej drogi. Nagle zobaczyłam samochód, który jechał prosto na mnie. Zygzakiem... jak pijany. Zapadał zmrok, a droga była wąska... nad urwiskiem nad rzeką. W pewnej chwili tylne drzwi się otworzyły i wypadł z nich pies.
- Wyrzucili go?
- Tak. Prosto pod moje koła. Rozjechałabym go, ale odbiłam w bok...
- Spadłaś z urwiska?!
- Jak myślisz? Zatrzymałam się na dole, na boku. Całe szczęście, że nie wylądowałam w rzece. Przez jakiś czas leżałam w samochodzie w nadziei, że

ktoś mnie wyciągnie. Jestem pewna, że ludzie z tamtego auta widzieli, co się stało. Ale nikt się nie zjawił. W końcu wyszłam przez drzwi pasażera, które stały się dachem. Zrobiło się ciemno, więc jak zgubiłam but, to nie mogłam go znaleźć. Wdrapałam się z powrotem na górę... sporo mi to zajęło... i wtedy zobaczyłam tego psa. Leżał na środku drogi. Usiadłam, żeby złapać oddech, liczyłam, że ktoś nadjedzie... Myślałam, że on zdechnie, ale nie zdechł. Więc wzięłam go na ręce i tu przyniosłam.

– Jeśli spadłaś tam, gdzie myślę... Dźwigałaś go dwie, a nawet trzy mile.

– Nie krył przerażenia.

– Wydawało mi się, że z dziesięć. – Opuściła powieki, po czym gwałtownie je uniosła. – Słucham?

– Nic. Nie, wcale nie nic. Uważam, że należy ci się medal. Nie mogę uwierzyć... – Potrząsną głową. – Muszę wracać do niego.

– Do niej – poprawiła go. – Kardynalny błąd. Obawiam się, że moje umiejętności diagnostyczne pozostawiają wiele do życzenia.

Jak nic służba zdrowia. Pielęgniarka?

– Tak, do niej – zgodził się ponuro. – Chyba wiem, dlaczego się nie rusza.

– Dlaczego?

– Bo rodzi. I to chyba od dłuższego czasu. Zajrzę do swoich starych podręczników weterynarii, żeby zobaczyć, co mam robić. Odczekamy, aż morfina zacznie działać i wtedy zajmę się twoimi zadrapaniami, a na razie...

– Postaraj się. – Uśmiechnęła się blado. – Nie połapałam się, że to suka i nie połapałam, że rodzi. Jestem do niczego, ale błagam... ratuj ją. Nie po to tyle ją taszczyłam, żeby teraz zdechła.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przykucnął nad nieruchomym zwierzęciem.

Tak, ta suka jest bezdomna. Na wytartej obroży nie dopatrył się identyfikatora. Ktoś się jej pozbył. Była w stanie skrajnego wycieńczenia, o krok od śmierci.

Bardziej humanitarnie byłoby ją uśpić, pomyślał. Jako jedyna osoba z kwalifikacjami medycznymi w promieniu pięćdziesięciu mil był wzywany do chorych zwierząt, więc miał pod ręką coś, co załatwiłoby tę sprawę szybko i bezboleśnie. Ale...

Ale te oczy, to błagalne spojrzenie...

Rozsądnie byłoby...

Pies nie przestawał się w niego wpatrywać. Drugi skurcz. O wiele słabszy od poprzedniego. Dziwne, że po tym, co przeszła, ma jeszcze jakiegokolwiek skurcze.

Zbadawszy ją pobieżnie, uznał, że szczeniak nie wybiera się na świat. Od kiedy ona ma te skurcze? Erin nie była w stanie tego zauważyć, ale fakt, że drugi skurcz był słabszy od pierwszego, mówił sam za siebie. Oto nieprawidłowy poród u konającej suki.

Cesarskie cięcie nie wchodzi w rachubę, bo jego wiedza na ten temat jest niewystarczająca oraz nie ma pod ręką anestezjologa. Nawet gdyby sam obliczył dawkę środka usypiającego, to który środek należy podać suce w stanie prawie agonalnym?

Pomijając poświęcenie Erin, to jakie jest sensowne rozwiązanie? Poważnie poturbowana suka i powikłany poród. Logiczne wyjście jest tylko jedno.

Ale to błagalne spojrzenie... Okej, doktorze o miękkim sercu, westchnął, sięgając po komórkę.

Fiona McLay, najbliższy lekarz weterynarii, mieszkała w miejscowości oddalonej o pięćdziesiąt mil i miała podobnie miękkie serce jak Dominic. Tak jak on była do dyspozycji przez całą dobę, przez siedem dni w tygodniu. Dobiegała siedemdziesiątki i była fenomenalna. Ilekroć trafiał mu się zły dzień, powtarzał sobie, że jeśli może Fiona, to i on potrafi.

Podniosła słuchawkę już po pierwszym sygnale.

– Przepraszam, że cię budzę – zaczął – ale mam problem i potrzebuję twojej rady.

Morfina w końcu zaczęła działać, przynosząc Erin ulgę w obolałych ramionach i stopie. Było jej ciepło. Rozkosznie ciepło, bo ogień w kominku aż huczał. Bieliznę miała jeszcze wilgotną, ale tym się nie przejmowała. Mogłaby zasnąć, natychmiast.

Mogłaby zadzwonić do Charlesa i do rodziców, żeby się nie martwili. Mogłaby do nich nie dzwonić, bo na pewno są przekonani, że nie może wyrwać się z pracy. Na pewno nie będą siedzieli jak na szpilkach.

I tak będą mieli jej za złe. Może nawet wcale na nią nie czekają.

– To go zabije... – Z rozmyślenia o swoim bólu wyrwał ją przestraszony ton głosu Dominica. – Ale skoro jesteś pewna... Chyba tkwi tam od kilku godzin. Tak, masz rację, nie ma wyjścia. Tak, słusznie, długo nie pociągnie. Padnie, zanim dojedziesz, ale dziękuję za dobre chęci, Fi, jesteś wspaniała. Dobrze, krok po kroku. Tak, mam ten zestaw, który mi dałaś... Łudziłem się, że nigdy nie będę musiał z niego skorzystać. Teraz powoli mów, co mam robić. Zapiszę sobie dawki.

Zapadła cisza, więc Erin wychyliła się z kanapy. Dominic coś notował, po czym zakończył rozmowę. Chwilę później usłyszała, że przemieszcza się

przez hol, potem szum wody w łazience, a następnie trzeszczenie desek pod drzwiami. Poza zasięgiem jej wzroku.

– Wiem, wiem, dziewczynko – mówił tak cicho, że ledwie go słyszała. – To nie wygląda jak profesjonalny stół w sali operacyjnej, ale nie chcę cię niepotrzebnie tarmosić. Postawię tu lampę, żeby lepiej widzieć.

Erin zżerała ciekawość. Poruszyła ostrożnie stopą. Nie boli, ale dlatego, że nie jest obciążona. Dobra, nie będzie na niej stawała. Ześliznęła się z kanapy i na pupie sunęła po podłodze do drzwi. Ramiona od razu dały jej o sobie znać, ale o co chodzi, od czego jest morfina? Tyle wysiłku kosztowało ją ratowanie tego psa, że teraz nic jej nie powstrzyma.

Wyjrzała zza drzwi. Dom krzątał się przy suce. Ustawił już lampę biurową, a teraz do lampy stojącej mocował zestaw do kroplówki.

Ze swojego punktu obserwacyjnego widziała psa na podłodze, staroświecki hol, wysoki sufit, zdobione ościeżnice. Oraz doktora Spencera. Ile on może mieć lat? Około trzydziestu pięciu? Kasztanowe włosy. Chyba powinien pójść do fryzjera i mógłby się ogolić. Chyba nie uznaje żelazka. Lekko zmiętoszony, pomyślała. Spłowiałe džinsy, sfatygowane adidasy, bawełniana koszula z podwiniętymi rękawami i wystrzępionym kołnierzykiem. Bez dwóch górnych guzików.

Nie wygląda jak pan doktor. Gdyby nie tabliczka na bramie oraz jego poczynania, odkąd się znalazła w jego domu, pomyślałaby, że ma do czynienia z bratem doktora, klepiącym biedę artystą, który zjechał tu na Wielkanoc. Mimo to jego działania dobitnie wskazywały, że jest w każdym calu medykiem.

Wydał się jej wspaniały. Przemawia przeze mnie morfina, przyszło jej na myśl. Ona tak nie reaguje na mężczyzn. Głupie hormony...

Na szczęście on tego nie widzi. Włączywszy kroplówkę, zajął się instrumentami.

– Co robisz? – odezwała się.

Rozejrzał się półprzytomnie, po czym wrócił do pracy.

– Jak będziesz się ruszać, znowu cię rozboli – rzucił. – Wracaj na kanapę.

– Niepokoję się o nią. Chyba nazwę ją Marilyn.

– Jak Monroe?

– Jak Monroe. Bo jest piękna i nierozumiana.

Jego wargi drgnęły w uśmiechu. Piekielnie pociągający uśmiech, orzekły jej hormony. Nie, to ona je o tym poinformowała.

– Niech będzie Marilyn. – Pociągający uśmiech zgasł. – Muszę cię ostrzec, że ona tego nie przeżyje.

– W głowie mi się nie mieści, że nie odgadłam, że ona rodzi. Myślałam, że po prostu jest zapasiona.

– Miałaś wypadek. – Popatrzył na nią. – Wracaj na kanapę. Wyjdź, to nie będzie przyjemny widok.

– Chcesz ją uśpić?

– Jeszcze nie. – Wskazał na kroplówkę. – Na razie uzupełniam płyny.

Nadal ma słabe skurcze. Podejrzewam... rozmawiałem z weterynarzem... że ten poród trwa już bardzo długo. Zapewne szczeniak utknął w kanale rodnym. Może dlatego ktoś się jej pozbył. Może okazało się, że poród się komplikuje, więc ktoś powiedział, że zabierze ją do weterynarza, na przykład, żeby dzieci uspokoić, a potem ją wyrzucił. Taka wizyta u weterynarza kosztuje majątek. – Rysy mu stężały. – Podejrzewam, że wyrzucając ją z auta w tym miejscu, w którym to się stało, liczył, że ona wpadnie do rzeki. To tylko moje domniemanie, ale ludzi stać na takie okrucieństwo.

Mówił, jakby coś o tym wiedział. Jak człowiek z przeszłością. Odnotowała to, ale powierzchownie, bo stopa ciągle ją bolała, a ból przyćmił reakcję hormonów, pozostawiając jej niewiele miejsca na racjonalne postrzeganie.

– To co robisz?

– Spróbuję wydostać to szczenię.

– Cesarka?

– Nie. Jest taka słaba, że by ją to zabiło, nawet gdybym potrafił przeprowadzić taką operację.

– Ja też nie – wyznała z żalem. – Moja specjalność to medycyna ratunkowa.

– Jesteś lekarzem? – Nie krył zdziwienia.

– Tak. – Przysunęła się bliżej, gdy on napełniał strzykawkę. – Co to jest?

– Środek nawilżający.

Dominic stanął tak, żeby zasłonić sukę.

– Uśmiercisz szczeniaka – zauważyła przerażona.

– On już dawno nie żyje – mówił praktycznie do siebie. – Fiona... ta weterynarz, twierdzi, że jeśli on tam jest od kilku godzin, to na pewno nie żyje. Kazała mi wybierać. Albo od razu uśpię Marilyn, albo odblokuję kanał rodny, wyjmując z niego nieżywego szczeniaka, żeby reszta mogła się wydostać. Jeśli to się nie sprawdzi, będę zmuszony ją uśpić, ale najpierw chcę spróbować. Więc bądź uprzejma milczeć...

– Już milczę. – Przysunęła się odrobinę bliżej. – Ale pamiętaj, że masz asystentkę. Sterylna nie jestem, ale zrobię wszystko, żeby ci pomóc.

Usunięcie martwego szczeniaka nie było łatwe.

– Jeden szczeniak. Martwy – zameldował w końcu. Dopiero wtedy spojrzał na Erin. Leżała plackiem na podłodze, trzymając palce na tętnicy szyjnej suki, drugą ręką delikatnie gładząc ją po łbie.

Ku zdumieniu obojga suka uniosła głowę, jakby chciała zobaczyć to szczenię. Z jej gardła wydobył się jęk. Chyba rozpaczy.

– Cicho, maleńka – szeptała Erin. – Wiem, że to twoje dziecko i bardzo mi smutno z tego powodu, ale zrobiłaś wszystko, co mogłaś. Spokojnie... Pomożemy ci.

Rewelacyjne podejście do pacjenta, pomyślał Dominic, aczkolwiek daleko wykraczające poza to, czego uczono go na studiach, bo Erin leżała nos w nos z pacjentką.

– I jęknęłaś – szeptała Erin. – To pierwszy dźwięk, jaki z siebie wydobyłaś, od kiedy cię znalazłam. To dobrze wróży. – Podniosła wzrok. – Co teraz?

– Myślę, że był martwy już w macicy. – Owinął maleńkie ciało ręcznikiem i ostrożnie odłożył na bok. – Zdeformowany i sztywny. To dlatego zablokował kanał.

– Jeśli reszta jest w tym samym stanie...

– Oksytocyna wywoła nowe skurcze. Miejmy nadzieję, że dopisze nam szczęście.

Zamilkł, bo rozpoczął się kolejny skurcz, bardzo słaby, ale to wystarczyło. Po chwili w jego podstawione dłonie wysliznęło się drugie ciało. Ten mały się poruszył.

Erin znowu przemawiała do psa.

– Spokojnie, maleńka. Doktor Dom zajmie się twoim potomstwem. Obydwie jesteśmy w jego rękach.



On tymczasem trzymał żywego szczeniaczka. Odwrócił go łebkiem na dół i lekko nim potrząsnął, na co piesek... szczeknął?

– O matko – szepnęła Erin, po czym się rozplakała.

– Jak będzie pani płakać, doktor Carmody, to panią stąd wyrzucę. – Mimo to się uśmiechał. – To taka z pani asystentka? Niech pacjentka zaczeka z następnym skurczem, aż wrócę.

Ciepłe ręczniki! Kurczę, nie spodziewał się żywego szczeniaka. Ściągnął z łazienkowej suszarki ręczniki domowników, dwa wsunął pod pachę, trzecim owinął psiego noworodka. Gdy wrócił do holu, zastał Erin na grzebaniu w jego torbie lekarskiej.

– Nitka dentystyczna – stwierdziła z zadowoleniem. – To mi się podoba. Który lekarz ma pod ręką nitkę dentystyczną?

Z uśmiechem położył szczeniaczka tuż przy pysku Marilyn.

– Myślisz, że należy podwiązać pępownię? – zapytała.

– Masz mnie za psiego eksperta? Co nam szkodzi podwiązać? – Gdy dostrzegł nowy skurcz, zostawił pieska pod okiem Erin i Marilyn.

Na świat przyszły jeszcze dwa szczeniaki. Nie słysząc dodatkowego tętna, Dominic uznał, że poród dobiegł końca. Gdy urodził się ten trzeci, odnieśli wrażenie, że Marilyn się rozluźniła.

– Teraz nie wolno ci umierać – rzekła Erin groźnym tonem. – Doktor Dom poda ci zaraz płyny. On się bardzo stara. Pamiętaj, że masz trzy szczeniaki na wyłącznie swoim utrzymaniu i nie wolno ci umierać.

Nie do końca wyłącznie swoim, pomyślał, obserwując Erin. Suka leżała wyczerpana, wręcz na granicy śmierci, ale gdy Erin podsunęła jej pod nos szczeniaki, okazała zainteresowanie, a gdy ułożyła je przy jej sutkach, od razu wiedziały, o co chodzi.

Robiła, co w jej mocy, by rozpoczęły normalne życie, a i Marilyn bardzo się starała. Oddychała głęboko, jakby zdawała sobie sprawę, że musi odzyskać siły.

– Ona jest niesamowita – powiedziała Erin. – Jak oni mogli się jej pozbyć?

– Trudno się z tym pogodzić. – Smutno pokiwał głową. – Ale takie jest życie. A my musimy to naprawiać.

– Mówisz, jakbyś na co dzień miał z tym do czynienia.

– Jestem lekarzem rodzinnym.

– Tak, rodzinnym... – Nagle zdała sobie sprawę, że skąpo ubrana leży na podłodze w holu domu lekarza rodzinnego. Lekarza, który ma rodzinę. – Hm... Jak to możliwe, że nie obudziliśmy twojej żony ani dzieci?

Uznał, że nie pora wtajemniczać ją, kto wchodzi w skład jego rodziny. Musi ją przenocować, więc jeśli ona myśli, że na piętrze śpi małżonka oraz dzieci, to niech tak zostanie.

– Owszem, jestem lekarzem rodzinnym. W tej rodzinie uczymy się spać w huku bomb, czasami odnoszę takie wrażenie. Śpię między jedną a drugą eksplozją. Ale teraz... – Spojrzał na Marilyn, która leżała wyraźnie zrelaksowana, z pół przymkniętymi oczami, cierpliwie znosząc przyssane szczenięta.

Z pokoju płynęło ciepło od kominka. Widać było, że suka czuje się bezpiecznie.

– Zostawię ją tutaj – odezwał się. – Postawię jej grzejnik, żeby było im jeszcze cieplej. Podejrzewam, że będzie spała bardzo długo, a nie chcę odłączać jej od kroplówki. Rano zajmę się jej zadrapaniami. Wyglądają na powierzchowne, a Fiona powiedziała mi, jakie zastosować antybiotyki. Posprzątam kiedy indziej... – Wstał z klęczek, spoglądając na Erin. – Teraz... twoja kolej. Na twoje stopy. Nie zostawię tego do rana.

– Nic mi nie jest.

– Jasne – zgodził się. – Jesteś otumaniona morfiną i mogłabyś przejść jeszcze kilka mil. Albo nie. Wiesz doskonale, że twoje stopy wymagają interwencji medycznej. I to jak najszybciej.

Była zbyt oszołomiona, by polemizować.

– Tak, doktorze – przytaknęła potulnie, podając mu rękę, by pomógł jej się podnieść.

Ale jej nie pomógł.

– Na dzisiaj masz dosyć chodzenia – mruknął. – Całe instrumentarium mam w przychodni, na tyłach domu. –Zanim się zorientowała, znowu wziął ją na rękę.

To, co działo się potem, było wyjątkowo nieprzyjemne. Mimo silnego środka znieczulającego było piekielnie bolesne, bo żwir wbił się bardzo głęboko. Gdy niosła Marilyn, szła, bo nie miała wyboru.

– Każdego innego wieczoru na szosie byłby ruch –mówił Dominic – ale nie w Wielki Czwartek. Ludzie albo już wyjechali na święta, albo siedzą w domu, podejmując gości.

Aha, próbuje odwrócić jej uwagę. Leżała, starając się nie myśleć o tym, co Dominic robi. On tymczasem postawił sobie za punkt honoru nie pominąć ani jednego kamyczka.

– To dlaczego ty nie wyjechałeś ani nie podejmujesz gości?

– Jak to? – odparł z uśmiechem. – Kobieta z poranioną stopą, pies i trzy szczeniaki. To moi goście. Szkoda, że nie wyszły mi wielkanocne bułeczki.

– Bułeczki?

– Ciasto nie urosło – wyjaśnił ze smutkiem. – Stale spotykają mnie różne niepowodzenia, ale tym się nie przejmuj. Myśl o swoich zmartwieniach. Skasowane auto, poraniona stopa, sińce, a do tego zmarnowane święta. Ty

myśl o swoich problemach, a ja o swoich. O wielkanocnych bułeczkach płaskich jak naleśnik.

Parsknęła śmiechem, czym zaskoczyła oboje. Zerknął na nią, po czym wrócił do pracy. Auu. Jej uśmiech zgasł. Przygryzając wargę, uznała jednak, że musi się uśmiechać. Uśmiech jest bardzo ważny.

– Nie musisz być męczennicą – rzekł półgłosem. – Możesz przeklinać.

– Ja nie przeklinam – odrzekła z godnością.

– A ja ramię.

– Słucham?

– Mam siekiere. Jak mam wszystkiego dosyć, jak po raz czwarty w tygodniu zjawia się Gloria Fisher, narzekając na bóle brzucha, mimo że kazałem jej wyrzucić ciasne gorsety, wychodzę z domu i ramię wszystko, co pod ręką. Na szczęście jest tu mnóstwo uschniętych drzew. Dzięki temu mamy drewno na cały rok.

– I tak pozbywasz się złości?

– Tak – rzucił bez troski. – Mogę ci użyczyć mojej siekiery. Ale nie teraz.

– Nareszcie odłożył instrumenty. – Skończone. Boli cię coś jeszcze?

– Nie...

– Słowo honoru?

– Bolał mnie ramiona, ale to od noszenia Marilyn. Cała jestem trochę obolała, ale byłam w pasach, jak auto koziółkowało. Przejdzie.

– Do kogo dzwonimy, żeby po ciebie przyjechał?

Zamrugnęła gwałtownie. W ogóle o tym nie pomyślała. Charles. Jej rodzice. Jego rodzice. Tak, powinna do nich się odezwać, ale jest trzecia nad ranem, a oni i tak już są na nią obrażeni.

– Do rodziców? – zapytał, a ona przytaknęła. Jej rodzice są razem z Charlesem oraz jego rodzicami. Cała rodzinna katastrofa minus jeden element.

Jedna czarna zbuntowana owca.

– Jeżeli jechałaś do rodziców na święta i nie chcesz ich budzić... Jak jesteś pewna, że się nie zamartwiają, to możesz tu przenocować – zaproponował. – Twojemu psu przydałoby się kilka godzin spokoju. Moja kanapa jest całkiem wygodna... i kominek przyjemnie grzeje.

Pomyślała o drugiej opcji. Zadzwoń do Charlesa, obudzi jego rodziców i swoich. Wiadomość o jej wypadku przerazi całą piątkę. Każą Charlesowi po nią jechać, a on będzie miły i wspierający, dopóki ona nie wyjdzie z szoku. Zabrać ze sobą Marilyn?

Czytał w jej myślach. Nałożył ostatni opatrunek i delikatnie dotknął jej kostki. Ten gest dodał jej otuchy.

– Ej, nie martw się – powiedział. – Kanapa czeka. Muszę jednak mieć pewność, że nikt cię nie szuka.

– Nie, tego się po rodzicach nie spodziewam. Uznali, że wyjadę z Melbourne dopiero rano. – Może nawet pomyśleli, że w ogóle nie przyjedzie. Mało brakowało... – Ale jeżeli te dranie widziały, jak spadam z drogi...

– Mogli zawiadomić policję. To mało prawdopodobne, ale gdyby to zgłosili, to już by cię odnaleziono. Na wszelki wypadek zadzwonię do komisariatu i powiem, że kierowca wraku, w dobrym stanie, przebywa u mnie.

Niespodziewanie znowu wziął ją na ręce. Lekarze zawsze tak transportują pacjentów? Zrobiło jej się głupio.

– O co chodzi? – zapytał, niosąc ją przez dom.

– Pomyślałam, że w szpitalach są wózki.

– A jakże, i sanitariusze – mruknął z przekąsem. – A do tego pielęgniarki, procedury przenoszenia pacjenta oraz ściśle wytyczone granice dotykalności. Tutaj nie ma sanitariuszy, więc się zrelaksuj i nie przeszkadzaj mi w pracy.

Posadził ją w fotelu, po czym zniknął na chwilę, żeby wrócić z pościelą. Obserwowała, jak sprawnie i szybko pościelił dla niej kanapę. Wyjątkowo utalentowany facet. Jedyne, co mu nie wychodzi, to wielkanocne bułeczki.

– Hm... Twoja żona nie zajmuje się kuchnią? – wykrztusiła, ale po chwili zapomniała, o co pyta oszołomiona ciepłem, morfiną i wydarzeniami tego wieczoru.

Uśmiechnął się do niej.

– Zaczekaj, aż zrobię ci legowisko.

Bardzo się starała, ale gdy wziął ją na ręce, poczuła, że nie ma siły walczyć z sennością.

– Dzięki – wybełkotała. – Dzięki za wszystko.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł zmienionym głosem. – A teraz śpij i o nic się nie martw.

– Branoc...

Powinien zagnieść nowe ciasto. Dopiero trzecia. Do diabła z bułeczkami! Przykucnąwszy nad Marilyn, słuchał jej miarowego oddechu.

– Tak trzymaj – przykazał jej, gdy otworzyła jedno oko, po czym, o dziwo, jej ogon drgnął.

– Jesteś fantastyczna. Jak twoja pani. Ogon znowu się poruszył.

– Kochana, wystarczy, nie męcz się. Śpij.

Suka zamknęła oczy, a on dalej w nią się wpatrywał.

Wrak psa, pomyślał, wyrzucony na skały przez okrutnych ludzi. Takich katastrof są tysiące. Dwie ich ofiary śpią teraz na piętrze jego domu.

Może mógłby zatrzymać Marilyn? Oraz trzy szczeniaki?

Nie, to się nie da połączyć z pracą, pomyślał ponuro. Ale jest szansa, że cała czwórka znajdzie nowy dom. Marilyn wykąpana i zadbana mogłaby być

całkiem... ładna. Hm... Nie, Marilyn nigdy nie będzie ładna. Mimo starań najbardziej troskliwego opiekuna.

Erin ją przygarnie?

Gdy wcześniej, wychodząc z założenia, że obydwie wyjadą, powiedział, że wolałby, by Marilyn odpoczęła przez noc, dostrzegł na twarzy Erin przerażenie.

– Znowu wszystko na mojej głowie – zwrócił się do Marilyn, ale po chwili naszała go pocieszająca myśl. –Czym ja się zamartwiam? Znajdzie się mnóstwo dobrych ludzi, którzy wezmą was pod swój dach. Murowany dom z ogrodem – rozmarzył się – dzieci i piłki do zabawy oraz miska pełna pysznej karmy dla psów...

Zerknął na Erin śpiącą w salonie. Czy ona się tego podejmie? Nie wiadomo. Ale to, co widział do tej pory, napawało go otuchą. Jednak na razie postąpi zgodnie ze swoją sprawdzoną filozofią: o jutro będzie martwił się jutro.

Jutro będzie myślał o szukaniu domu dla szczeniąt, jutro zajmie się bułeczkami, a teraz pójdzie spać.

I być może kilka chwil poświęci na rozmyślanie o kobiecie, która taki kawał niosła cierpiącego psa...

## ROZDZIAŁ TRZECI

Obudziła się, bo ktoś na nią patrzył. Kątem oka spojrzała w stronę drzwi. Dwie małe główki natychmiast zniknęły. Odczekała chwilę, po czym zaczęła sprawdzać stan swoich członków. Obolałe miejsca dawały o sobie znać, ale bardzo słabo w porównaniu z tym, co było w nocy. Na koniec odważyła się poruszyć lewą stopą. O nie, to nie jest słaby ból.

Gdy po raz drugi otworzyła oczy, dziecięce głowy nie zniknęły. Jedna płomiennie ruda, druga myszata.

Pięć–, sześciolatki, pomyślała, ale zupełnie niepodobni do człowieka, który ją ratował.

– Cześć – odezwała się. Rudzielec, wyższy i odważniejszy, rozpromienił się, myszaty zniknął za framugą.

– Dom powiedział, że nie wolno nam cię budzić – wyjaśnił rudzielec.

– Dom to twój tata?

– Tak jakby. Robi w kuchni śniadanie. Nie wyszły mu bułeczki. – Zabrzmiało to jak tragedia epickich rozmiarów.

– Mamy szczeniaczki – dorzucił drugi, nadal się nie ujawniając. – Ale ich też nie wolno nam budzić.

– Ja już się obudziłam – oznajmiła, siadając. Ostrożnie postawiła prawą stopę na podłodze. Nie miała odwagi sprawdzić, na co stać lewą. – Tata powiedział wam, że wczoraj poraniłam sobie stopy?

– Powiedział, że twoje auto spadło ze skały i że niosłaś tę sukę. – Rudy patrzył na nią jak na supermana.

– Przesada – odparła skromnie. – Chłopaki, gdybym się mogła na was oprzeć, to może udałoby mi się dojść do kuchni.

– Chcesz, żebyśmy ci pomogli?



– Tak.

Zastanawiali się, w końcu rudy przytaknął.

– Dobra. Chodź, Nathan. Musimy jej pomóc. Mam na imię Martin – dodał.

– Miło mi was poznać. Naprawdę mi pomożecie? Nathan wychylił głowę zza framugi.

– Czasami pomagam mamie dojść do łazienki – powiedział. – Chcesz, żebyśmy cię zaprowadzili do łazienki?

Skarb nie dziecko.

– Tak, oczywiście. – Minutę później miała przy sobie dwie żywe kule.

Będą gotowe na lunch. Być może.

Co to za ojciec, który zapomina kupić bułeczki wielkanocne? No, nie do końca zapomniał, zapomniał je zamówić, a jak o trzeciej dotarł do sklepu, już wszystkie wykupiono. Więc uznał, że nie ma problemu, kupi drożdże i sam upiecze. Wielka sprawa.

Niestety, nie udało się nawet za drugim razem, a już powinien zajrzeć do Erin.

Drzwi się otworzyły, a w nich stanęła Erin oraz chłopcy. Stali po obu jej bokach jako podpory. Owinięta pledem jak sarongiem związanym na piersiach i z rozwichrzonymi włosami wyglądała... bosko. Ta myśl tak go poraziła, że aż go zabolало serce.

Dwa głębokie oddechy. Profesjonalizm. To twoja pacjentka. Nic więcej.

O bolącym sercu już zapomniał.

– Witaj. – Posłał jej profesjonalny uśmiech. – Mam nadzieję, że nie opierasz się na tej stopie.

– Mam dwie wspaniałe kule – odparła. – Jedna ma na imię Nathan, a druga Martin.

– Dobra robota, chłopcy – pochwalił ich, a oni aż pokraśnili z zadowolenia. Znowu serce mu się ścisnęło. Jak trudno wywołać uśmiech tych dzieciaków.

Kurczę, jak mógł zapomnieć o bułeczkach?!

– Są już bułeczki? – zainteresował się nagle Martin.

– Będą po południu. – Czuł, że w jego głosie brzmi nuta rozpaczy.

– Powiedziałaś, że będą na śniadanie – odezwał się Nathan. – Chłopaki w szkole mówiły, że bułeczki je się rano w Wielki Piątek.

– Ja jem je już od tygodnia – wyrwało się Erin, za co Dominic spiorunował ją wzrokiem. A chciała pomóc...

– Dom powiedział, że takie bułeczki je się w Wielkanoc, a nie wcześniej – pouczył ją Martin. – Tak jak czekoladowe jajka. Powiedział, że gdyby zajaczek zobaczył, że jemy bułeczki przed niedzielą, to do naszego domu nie przyniósłby jajek.

– Gdyby zobaczył, że przed dzisiejszym porankiem jecie bułeczki, to nie dostalibyście jajek wielkanocnych? – Nie spuszczała wzroku z Dominica. – Wasz tata ma surowe zasady.

– Zasady są dobre – rzucił Martin, ale bez większego przekonania.

– Bardzo dobre. Bułeczki też – zgodziła się. – Pod warunkiem, że nie nastąpią nieprzewidziane wydarzenia, jak suki, które się szcenią albo kobiety, które mają wypadek, i nie odciągną człowieka od pieczenia.

– Prawdę mówiąc, ciasto oklapło wcześniej... – zaczął się tłumaczyć, ale Erin nie dała mu dokończyć.

– Dobrymi uczynkami należy się wymieniać – oznajmiła z uśmiechem, który świadczył, że w pełni zdaje sobie sprawę z jego trudnej sytuacji. – Zaczęłaś od nowa?

– Tak, godzinę temu, ale w instrukcji jest napisane, że ciasto będzie rosło pięć godzin.

– Co najmniej. W takim razie twoje bułeczki będą drugą partią.

– Słucham?

– Masz jeszcze mąkę i proszek do pieczenia?

– T... tak.

– Masło?

– Tak.

– No i, oczywiście, suszone owoce?

– Tak, ale ty się nie...

– Wiem, do niczego się nie nadaję – zgodziła się pogodnie. – Marilyn i jej dzieci śpią, więc nie jestem im potrzebna. Stoję tu w twarzowym sarongu, ale boli mnie stopa. Więc lepiej posadź mnie na krześle, daj mi jakąś miskę i wszystko, co wymieniłam... aha, i jeszcze mleko. Koniecznie. I nastaw piekarnik na najwyższą temperaturę. Za dwadzieścia minut dostaniecie gorące bułeczki wielkanocne. Na śniadanie.

Zgodnie z jej obietnicą dwadzieścia minut później zajadali się pysznymi gorącymi bułeczkami, a ściślej mówiąc, babeczkami. Ale kto by się czepiał, pomyślał Dominic, smarując trzecią babeczkę masłem. Na pewno nie on. Ani chłopcy.

Pod jej okiem mieszali masło z mąką, pomagali jej wyrabiać babeczki z ciasta, a następnie białkiem z cukrem malowali na każdej krzyż. Potem z nosami przyklejonymi do szklanych drzwiczek piekarnika obserwowali, jak bułeczki... babeczki!... rosną w oczach.

Erin jadła tak szybko, jakby od miesiąca głodowała, co przypomniało Dominicowi, że w nocy miała torsje i od tamtej pory pusty żołądek. Powinien był coś jej dać...

– Nic bym nie przełknęła, nawet gdybyś mi coś zaproponował.

Gwałtownie podniósł na nią wzrok.

– Skąd wiesz, co chciałem powiedzieć?

– Miałeś to wypisane na twarzy – wyjaśniła, wycierając z brody strużkę ciekącego masła. – Taką samą minę miał mój stażysta, kiedy zapomniał wpisać istotny szczegół do karty pacjenta. Informacji, ile nóg ma pacjent.

– Jak to?

– Któregoś dnia przyszedłam na poranny obchód. – Sięgnęła po kolejną babeczkę. – Z karty z opisem stażysty dowiedziałam się, że w nocy przyjęto pacjenta, który uskarża się na mrowienie w nogach. Było chłodno, pacjent leżał przykryty dodatkowym pledem, więc nic podejrzanego nie zauważyłam. Porozmawiałam z nim, a następnie go poprosiłam, żeby poruszał palcami stóp.

– I co dalej?

– Dwadzieścia lat wcześniej facet stracił obie nogi w wypadku motocyklowym – mruknęła ponuro na wspomnienie żenującego incydentu. – Zgłosił się do szpitala zaniepokojony mrowieniem w kikutach i lekkim drętwieniem prawej strony ciała. Wyszło na jaw, że wieczorem wypił za dużo i zasnął na twardej podłodze, a jak się obudził, wpadł w panikę. Zanim do tego doszłam, studenci towarzyszący mi w obchodzie mieli niezły ubaw.

– I miałem taką minę jak...

– Dokładnie jak ten stażysta, kiedy wyszłam z oddziału i zapytałam go, dlaczego taki drobiazg jak brak obu nóg nie znalazł się w jego wpisie. Nie proponowałeś mi jedzenia, bo wymiotowałam, więc się nie obwiniaj. Lepiej podaj mi dżem.

– Pyszne babe... bułeczki.

– Też tak uważam – odparła bezwstydnie. – Ten przepis znalazłam w książce kucharskiej stowarzyszenia kół gospodyń wiejskich z roku 1978.

– To nie przepis twojej mamy?

– Nie. – Wzrok lekko jej pociemniał.

– Hm... twoja mama...

– Co moja mama?

– Będzie czekała na ciebie z bułeczkami?

– Możliwe. Od najbardziej snobistycznego i najdroższego cukiernika w Melbourne. Będzie też niesolone masło prosto z Danii. Gdyby nie to, że jest teraz u rodziców Charlesa, podałyby śniadanie na porcelanie. Jeden talerz wart więcej niż moje tygodniowe wynagrodzenie, ale Marjory jej dorówna. Marjory też ma elegancką porcelanę.

– Marjory?

– Matka Charlesa. – Wbiła zęby w babeczkę z taką zawziętością, że Dominic aż drgnął.

– Uhm.

– Lepiej nie pytaj. Kocham ich, ale doprowadzają mnie do szewskiej pasji. Niedługo do nich zadzwonię i poproszę, żeby po mnie przyjechali. – Z niechęcią popatrzyła na moherowy sarong. – Nie wiem, co sobie pomyślą o moim stroju. Chłopcy, jak wam się podoba?

Patrzyli na nią jak zahipnotyzowani.

– Bardzo... ładny – wyjąkał Martin.

– Moja mama też czasami chodziła w kocu – powiedział Nathan.

– Twoja mama...

– Uprałem twoje rzeczy – odezwał się Dominic, żeby zmienić temat. – Teraz są w suszarce. Za pół godziny będziesz mogła się normalnie ubrać.

– Zdaje się, że są podarte.

– Owszem. Masz coś więcej w samochodzie?

– Oczywiście.

– Zawiadomiłem policję o wypadku. Jeżeli nie przywiozą twojego bagażu, sami po niego pojedziemy.

– Naprawdę rozbiłaś samochód? – zapytał Martin.

– Naprawdę. – Zorientowała się, że chłopcy czekają na mrożące krew w żyłach szczegóły. – Na środku drogi zobaczyłam Marilyn, więc gwałtownie skręciłam, żeby jej nie rozjechać. Wyrzuciło mnie z drogi i stoczyłam się aż na brzeg rzeki.

– Stoczyłaś się... – sapnął Nathan. Pokiwała głową.

– Tak, przez cały czas auto się toczyło. Gdyby nie pasy, byłaby ze mnie marmolada.

– Chyba się bałaś – szepnął Martin.

– Bardzo – przyznała.

– Mogłaś wpaść do rzeki i się utopić – zauważył rezolutnie Martin. Ściągnął brwi. – Myślę, że mój tata się utopił, bo ciocia mówiła, że utopił się w gorzale.

– Tak mi przykro... To okropne. – Spoważniała, spoglądając na chłopca jak dorosły na dorosłego.

Ta kobieta ma talent, pomyślał Dominic, jest empatyczna, dobra, kocha ludzi.

– Ja go nie pamiętam – ciągnął Martin. – Mamę pamiętam, ale jej też nie ma.

– Nie jest ci smutno? – zapytała ostrożnie.

– Nie, bo jestem u Doma. Chłopiec się rozpromienił. – I u Tansy, ale ona wyjechała. Za to jesteś ty. I Marilyn.

– Pies będzie tu tylko do wyjazdu Erin – ostrzegł go Dominic, a Erin pomyślała...

– Nie ma mowy.

– Słucham? – Zaskoczył ją. – Ja też umiem czytać z wyrazu twarzy – powiedział Dominic. – Bardzo mi przykro, że miałaś wypadek. I bardzo mi przykro z powodu tego, co spotkało Marilyn, ale ona tu nie zostanie.

– Nie możesz... Nie, ja... Nie zrobisz tego.

– Mam pod opieką dwóch małych chłopców oraz wszystkich mieszkańców miasteczka i okolic. Normalnie mam gosposię...

– Nie masz żony? – wyrwało się jej.

– Nie mam żony. – Uśmiechnął się, rozbawiony jej zakłopotaniem. – Przykro mi. W nocy myślałaś, że jestem żonaty, ale uznałem, że sensownie będzie nie wyprowadzać cię z błędu. Normalnie mieszka z nami gosposia, Tansy. Tansy jest fajna, prawda? – zwrócił się do chłopców. – Ale tydzień temu poleciała do Queenslandu, do siostry, która urodziła dziecko. Więc jak mam nagle wezwanie do chorego, muszę chłopców zabierać ze sobą. Nie wyobrażam sobie, żebym jeszcze woził Marilyn i szczeniaki. Nie mogę więcej brać na swoje barki.

– Jasne, że możesz. Coś... wymyślę.

– Na pewno. – Ugryzł się w język, żeby nie poprosić, by została. Twój pies może z nami zostać. Ty też.

Absurd. Nie ma najmniejszego powodu, żeby na widok tej kobiety jego serce biło tak mocno. To pacjentka, której udzielił pomocy.

Ona tu nie pasuje.

Jego ciało było odmiennego zdania.

Niech jego ciało się opanuje.

Może jest podobny do matki bardziej, niż myślał? Matka wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia i przez to złamała życie sobie i jemu. Jej królewicze z bajki jeden po drugim okazywali się nieudacznikami. Matka

patrzyła na świat przez różowe okulary i dlatego za każdym razem jej marzenia przeistaczały się w koszmar.

– Mam robotę – powiedział nagle.

– Nie będę ci przeszkadzać.

– Wiem. – Bo ci nie pozwolę, dodał w duchu, wychodząc z kuchni.

Wyprowadziłam go z równowagi. Trudno.

Rozmawiając z chłopcami, zjadła jeszcze jedną babeczkę i wypła drugą kawę. Za ścianą ustał szum suszarki, a po chwili do kuchni zajrzał Dom z naręczem wysuszonego prania.

– Chcesz zadzwonić do rodziców? Możesz skorzystać z mojego stacjonarnego.

Dochodziła dziewiąta. Gdyby rano wyruszyła z Melbourne, na miejsce dojechałaby koło jedenastej. Jeszcze nie zaczęli się niepokoić. Ma czas. Na co? Na siedzenie w kuchni faceta, który jej unika? Idiotyzm. I tak musi do nich jechać.

A Marilyn? Mogłaby ją ostrożnie wnieść na tylne siedzenie samochodu Charlesa. To prawda, suce należy się spokój, ale lepsze to, niż ją usypiać. A taka jest alternatywa.

– Możesz zadzwonić do schroniska dla zwierząt – zasugerował Dominic, widząc jej niezdecydowanie. – Może oni coś wymyślą.

– Akurat. Pierwszego dnia czterodniowych świąt. Dla pokiereszowanej suki z kilkugodzinnym przychówkiem?

– Kręciła głową. – Coś wymyślę. – Podniosła się z krzesła, czując, jak ogarnia ją smutek.

– Przyniosę ci kule z przychodni.

– Dzięki.



– My możemy być twoimi kulami – zaproponował Martin, ale w jego spojrzeniu czaiło się powątpiewanie.

– Zabierzesz szczeniaki?

– One są Erin – powiedział Dominic.

– A ona je chce? – Martin wpatrywał się w nią wzrokiem dziecka, które nieraz okłamano.

– Oczywiście, że chcę – odparła radosnym tonem, po czym popatrzyła na kupkę psiego szczęścia pod drzwiami. – Tylko muszę przekonać do tego moją rodzinę.

Jej rodzina, łącznie z rodzicami Charlesa, wpadła w panikę. Erin starała się zbagatelizować wypadek, skręciła, żeby ominąć psa. Kilkakrotnie musiała zapewnić matkę, że jest cała i zdrowa oraz że prosi tylko, by ktoś po nią przyjechał. Matka przekazała słuchawkę Charlesowi. Czy to znaczy, że Charles nie powiedział im, jak mają się sprawy między nimi? Może powiedział, ale tłumaczył to jej brakiem rozsądku, hormonami.

Rozmowa z nim tak ją wyczerpała, że o Marilyn nawet nie wspomniała.

– Już jadę – obiecał, a ona wyczuła, że i on jest wstrząśnięty. Wiedziała też, że Charles stawia się lotem błyskawicy.

Wolałaby jechać z ojcem, ale oni, oczywiście, tworzą zespół. Wszyscy tak bardzo się o nią troszczą, a ona czuje się... stłamszona.

Gdy się przebierała w salonie, ktoś zadzwonił do drzwi. Nie, to nie Charles, zdecydowanie za szybko. Pewnie jakiś pacjent. Gdyby Doma wezwano do chorego... Mogłaby zostać z chłopcami. W geście rewanżu. Charles poczeka, zje babeczkę...

Włożyła kurtkę i uchyliła drzwi. Przed Dominikiem stał nieznajomy mężczyzna. Wysoki, chudy, zaniedbany. W rękach trzymał ogromne jajo wielkanocne. Jak dwie piłki futbolowe.

– Przyszedłem do Nathana – wychrypiał, po czym zaniósł się kaszlem. – Nathan! – zawołał, dostrzegając Erin.

Patrzył na nią spojrzeniem bez wyrazu, takim, jakim wymieniają się lekarze na oddziale ratunkowym, gdy należy zachować wyjątkową ostrożność.

Nathan wybiegł z kuchni... i zatrzymał się w miejscu.

– Przyszedł twój tata – powiedział łagodnym tonem Dominic. – Przyniósł ci prezent.

– Sam to powiem mojemu dziecku – warknął mężczyzna.

– Wejdiesz? – Dom wskazał na Marilyn. – Przepraszam za bałagan. Nasza suka w nocy się oszczeniła.

Nasza suka? No tak, za dużo by tłumaczyć. Marilyn stała się wspólną własnością.

– Nie wejdę. Nie podoba mi się ten dom.

– Tato, tu jest bezpiecznie – mówił półgłosem Nathan. – Tu cię nikt nie uderzy.

Mężczyzna znieruchomiał.

– Nigdzie nie biją — mruknął bez przekonania.

– Jesteś nadal w programie odwykowym? – zapytał Dom po chwili, budząc na nowo gniew mężczyzny.

– Metadon jest do niczego.

– Znowu bierzesz?

– Tak, ale chcę dostać dzieciaka.

– Sędzia cię poinformował, że musisz być czysty przez trzy miesiące, żeby sąd rozpatrzył twój wniosek. Dobrze wiesz, metadon i testy, takie są reguły. Ćwiczyliśmy to już kilka razy. Ludzie starają się ci pomóc.

– Pieprzeni dobroczyńcy!

– Michael, nic więcej nie możemy zrobić – odparł Dominic zmęczonym tonem. – Zjesz śniadanie?

– Nie. Chcę dać małemu jajo. – Wyciągnął do syna dłonie z darem. – Masz, Nathe. Kupiłem je. Z zasiłku.

– Duże – mruknął Nathan, ale nie wyglądał na zadowolonego. Właściwie był bliski łez.

– Podejdź i weź je – kusił Michael.

Nathan przecisnął się obok Marilyn. On się nie boi psa, pomyślała Erin. Gdy podszedł do ojca, był blady jak ściana. Dominic położył mu rękę na ramieniu.

– Fajnie, że tata przyniósł ci jajo – powiedział.

– Fa... fajnie. – Chłopiec odetchnął głębiej, jakby mobilizował całą swoją odwagę. Ojciec wcisnął jajo w jego wyciągnięte ręce.

– No – mruknął Michael z satysfakcją. – Nie możesz powiedzieć, że się z nim nie kontaktuję – rzucił wojowniczym tonem.

– Nie mogę – przyznał Dominic. – Ale jeśli chcesz mieć prawo do opieki nad Nathanem, potraktuj poważnie program odwykowy.

– Taa... Po świętach. Jak trochę ułożę sobie życie. Ale teraz jedziemy z kumplem na deskę. – Wyrzwał na ulicę, gdzie czekał fioletowy obdrapany pickup. – Nathe, pojedziesz ze mną na deskę?

– Noo... – odparł chłopiec, biorąc Dominica za rękę. Michael to zauważył.

– Ty mały... – syknął wściekle.

– Nathan był przeziębiony – pospieszył z wyjaśnieniem Dominic, gdy Michael wyciągał dłoń. – Przez tydzień nie chodził do szkoły.

To ostudziło nerwy Michaela. Opuścił ramię.

– Mój chłopak był chory? Dlaczego mnie nie zawiadomiłeś?

– Zostawiłem wiadomość w schronisku.

– Nie byłem tam od trzech tygodni.

Kierowca fioletowego pojazdu stracił cierpliwość i raz po raz włączał klakson.

– Życzę dobrej fali – rzucił Dominic neutralnym tonem, a Michael przyglądał mu się podejrzliwie.

Zastanawia się, czy dać pokaz agresji, pomyślała Erin. Na szczęście po chwili zrezygnował z tego pomysłu.

– Dzięki. Muszę iść. Nathe, pamiętaj przyniosłem ci jajo. Robię, co mogę. Kocham cię, chłopie. – Odwrócił się na pięcie i pobiegł do auta. Nathan, trzymając Dominica za rękę, patrzył za nim.

Stali zwrócenii do niej plecami. Gdy pickup zniknął im z oczu, zapłakany Nathan spojrział na Dominica.

– Zajaczek już do nas nie przyjdzie – chlipnął.

– Przyjdzie, przyjdzie – pocieszył go Dominic. – Znasz zasady. Jeżeli zajaczek zobaczy, że ktoś je jajo przed niedzielą, to to jest dla niego sygnał, że on już nie musi przynosić mu jajka. Ale co innego dostawać jajka przed niedzielą. Na moim biurku leżą trzy jaja od pacjentów. Ale nie wolno mi ich zjeść.

– Ja też nie mogę zjeść jaja od taty?

– Dopiero w niedzielę wielkanocną. Jeżeli zależy ci na tym, żeby przyszedł do nas zajaczek — mówił Dominic ze śmiertelną powagą.

Niesamowity człowiek, pomyślała.

– Chyba mi zależy – szepnął Nathan.

– Połóż je tam, gdzie leży reszta jaj, które zjemy w Wielkanoc.

– Dobrze. – Nathan w końcu dał się przekonać. I nawet się rozchmurzył.

– Dobrze, że sobie poszedł. Wróci?

– Nie wiem, Nathe.

– Pewnie wróci – zasepił się Nathan. – Ale powiedział, że na święta jedzie na deskę, a to jeszcze bardzo długo. Na pewno nie przyjedzie przed zajęczkiem. Powiem Martinowi.

Oddał jajo Dominicowi, precyzyjnie się obok legowiska Marilyn i pobiegł na poszukiwanie... brata?

Dominic stał w holu z groteskowo ogromnym jajem wielkanocnym. Tuż przy jego stopach drzemała Marilyn, a Nathan i Martin rozmawiali w kuchni.

Ile ten człowiek ma obowiązków?!

– To twoi wychowankowie? – zaryzykowała, na co on przytaknął, przyglądając się jej, jakby nie mógł jej rozszyfrować. – O co ci chodzi? – zaniepokoiła się.

– Nic, nic. Tak, to moi wychowankowie.

– Ale nie masz żony.

– Nie trzeba mieć żony, żeby mieć wychowanków.

– Myślałam...

– Gdybym chciał adoptować słodkiego niemowlaka, to tak, musiałbym być żonaty. I musiałbym przedstawić referencje od samego papieża. Ale ja biorę dzieci z problemami, które wymagają większego nadzoru. Jak Martin, którego matka przepadła, ale w każdej chwili może się zjawić, albo Nathan, którego ojciec jest... sama widziałaś. O takie dzieci ludzie się nie biją.

– Ale ty jesteś lekarzem. Na pół etatu?

– Tutaj? Chyba raczej na półtora. To się da pogodzić – wyjaśnił, widząc jej zdumienie. – Mam rewelacyjną gosposię, poza tym chłopcy często mi towarzyszą. Przyjeżdżają do mnie po traumatycznych przeżyciach, są zamknięci w swoim zaburzonym świecie. Ze mną poznają inne światy, czasami

tak zaburzone jak ich własny, ale we mnie mają solidną bazę, uczę ich zasad, a jak trzeba, to ich przytulam.

Odwrócił się, bo znowu zadzwonił dzwonek u drzwi. Z kuchni wyjrzał przestraszony Nathan.

– Spokojnie, Nathe. Ja to załatwię.

Gdy chłopiec się wycofał, Dominic otworzył drzwi.

Charles, a za nim na podjeździe jego porsche.

Charles był lekarzem rodzinnym i miał wśród swoich podopiecznych najbogatszych mieszkańców Melbourne. Doskonale wiedział, czego chce od życia... i nienawidził niespodzianek. Teraz czekała go druga niespodzianka w tym samym tygodniu. Pierwsza zaskoczyła go we wtorek, kiedy Erin odrzuciła jego oświadczenia.

– Erin... – Ponad głową Dominica widział tylko ją. Omiótł ją spojrzeniem od bosych stóp do włosów, których nie zdążyła wysuszyć i uczesać. – Boże, powiedziałaś, że nic ci nie jest, a masz kule...

– Skaleczyłam się w stopę. – Uśmiechnęła się. – To dużo drobnych skaleczeń. Szybko się zagoją. Poza tym wyglądam dużo lepiej niż wczoraj. Poznaj doktora Spencera. To on mnie ratował.

– Jestem panu wdzięczny...

On jest wdzięczny! Jakby ona była jego własnością! Co jeszcze ma mu powiedzieć, żeby się od niego uwolnić?

– Już ci mówiłam, że zgubiłam komórkę – przypomniała mu, gdy spojrział na nią z wyrzutem. – A jak tu dotarłam, była trzecia rano. Nie chciałam niepokoić mamy i taty.

– Za to teraz się niepokoją. Jak mogłaś rozbić auto... przez psa. – Westchnął. – Erin, przecież wiesz, że tak nie należy. Mało masz przykładów takich tragedii na oddziale? Już nic więcej nie powiem. Jak jesteś gotowa, to

ruszamy. Po drodze obejrzymy twoje auto, zobaczymy, co trzeba z niego zabrać, a wcześniej skontaktujemy się z ubezpieczycielem. To praktycznie nowe auto. Nie chcę, żeby je rozgrabiono.

On nie chce, żeby je rozgrabiono!

Charles twierdził, że jej rodzice od dawna zakładali, że oni się pobiorą. Jego rodzice też tak przyjęli. Oraz on sam. Dopiero gdy zaproponował, by w Wielkanoc przekazać im tę radosną wiadomość, a potem całą wielką rodziną udać się do jubilera po pierścionek zaręczynowy, dotarło do niej, jak daleko zaszły te oczekiwania.

Tym jest małżeństwo? Założeniem, że wszystkim stronom taki układ odpowiada?

We wtorek usiłowała mu wytłumaczyć, ale on tylko się uśmiechał jak wyrozumiały starszy brat.

– To z nerwów. Nie przejmuj się. Przyjedź do domu na święta, to porozmawiamy – powiedział wtedy.

O mały włos, a by nie dojechała. Ale jej rodzice już są u jego rodziców. Zaplanowali te wspólne święta kilka miesięcy temu. Będą bardzo niezadowoleni...

Charles szeroko się do niej uśmiechał. Cierpliwie czekał na odpowiedź, gotowy podjąć rozsądną dyskusję.

Dominic ich obserwował.

– Tutaj nikt auta nie okradnie – mruknęła. – Poza tym... hm... Charles, jest jeszcze jeden problem. Marilyn.

– Jaka Marilyn?

– Hm... mój pies. Znalazłam ją na szosie. Nie zostawię jej.

Charles zerknął na sukę, nie kryjąc przerażenia.

Marilyn powoli się budziła. Szczeniaki spały. Z trudem stanęła na czterech łapach, ostrożnie obwąchała miskę z wodą, po czym zaczęła pić.

Erin poczuła, jak jej wargi rozciągają się w uśmiechu. Dominic też promieniał.

– Odłączę ją od kroplówki – powiedział z zadowoleniem. – Teraz będzie chciała wyjść.

– Co... to jest? – Charles nie dowierzał własnym oczom.

– To jest ta suka, o której ci mówiłam. Oszczeniła się w nocy. Zatrzymuję ją razem ze szczeniakami.

Nie zwracając na nich uwagi, Dominic ukląkł, wyjął z psa igłę, a w miejsce wkłucia na chwilę przyłożył chusteczkę higieniczną. Który facet nosi przy sobie chusteczki? Ten, któremu nieobce są tragedie życiowe.

– Bardzo mnie to cieszy. – Dominic obserwował chłopczącą Marilyn. – Myślę, że się dostosuje, dokądkolwiek ją zabierzesz. Była wyjątkowo cierpliwa, kiedy ją rano opatrywałem. Jest kochana. Musisz pamiętać o podawaniu jej antybiotyku, ale będzie dobrze.

– Musisz pamiętać o podawaniu... – powtórzył Charles słabym głosem, wpatrując się w Erin. – Chyba żartujesz.

– Nie żartuję. Nie mogę jej tu zostawić.

– Dlaczego?

– Bo Dom ma wystarczająco dużo obowiązków. Dom ma dzieci.

– Dzieci lubią psy – argumentował Charles. – Nie wierzę własnym oczom. Rozbiłaś auto przez taką pokrakę?!

– Ej – wtrącił się Dominic. – Tylko bez inwektyw. W obecności położnic należy uważać, co się mówi. One są bardzo drażliwe.

Uśmiechał się. Drwił z Charlesa? Rozbawiło go jej położenie? Odwróciła się do niego plecami, by skoncentrować się na rozmowie z Charlesem.



– Charles, muszę ją zabrać.

– Nie do moich rodziców. Mama chyba zniesie jajo.

– Menażeria się powiększy – rzucił wesoło Dominic.

– Twoja matka też zemdleje – syknął Charles. – Wyobrażasz sobie, jak Peppy zareaguje?

– Kto to jest Peppy? – zainteresował się Dominic. – Ciocia Peppy?

– Peppy to pudlica mojej mamy – warknęła Erin, rozzłoszczona jego świetnym humorem.

– Wasi rodzice mieszkają razem? – drażył Dominic.

– Umówiliśmy się na rodzinne święta – wyjaśniła, starając się, by zabrzmiało to jak najswobodniej. Czuła jednak, że jej to nie wyszło. – Nasi rodzice znają się od lat i rodzice Charlesa zaprosili nas na wspólną Wielkanoc.

– Fajnie. – Nagle wzrok Dominica pociemniał. – W ten sposób do opieki nad dwoma psami i trzema szczeniakami będzie sześcioro dorosłych. – Zadzwoił telefon. – Przepraszam, muszę odebrać. – Spojrzał jeszcze na Marilyn, która wymownie popatrywała w stronę drzwi. – Bądźcie tak dobrzy i wypuście ją do ogrodu. Przyda się jej mały spacer. – Wszedł z telefonem do kuchni i zamknął za sobą drzwi.

Niech będzie spacer. Chyba tylko kilka kroków, pomyślała. Dla jednej i dla drugiej.

Niech Charles przez ten czas oswoi się z tym, co nieuchronne. Nieopodal drzwi stały gumiaki Dominica.

Zapewne po to, żeby wyjść w nich w deszcz po drewno albo do innych równie sielankowych i brudnych zajęć. Nałożyła gumiaki i pokuśtykała na werandę. Charles ani drgnął, za to Marilyn ruszyła za nią.

Z trudem pokonały dwa stopnie. Marilyn obwąchała trawę, spojrzała na Erin z wdzięcznością, po czym zrobiła, co miała zrobić. W nocy wydawało się

Erin, że ten pies jest zapasiony, ale teraz w świetle dnia ujrzała jego wystające zębra, zapadnięty pysk i trzęsące się łapy. Ale ta koszmarna noc była już za nimi.

Życie tego psa się zmieni. Bo musi. Nawet jeżeli ma to zmienić jej życie. Miała wrażenie, że po raz pierwszy w życiu wystawia twarz do słońca. Jakby obudziła się ze snu w nowej rzeczywistości.

Może jest naiwna i głupia, ale gdy spojrzała na Marilyn, poczuła, że jej decyzja jest nieodwołalna. Przykucnęła mimo bólu w stopie, ale to nic w porównaniu z tym, co przeszła Marilyn.

– Jesteś piękna.

– Wcale nie – odezwał się z werandy Charles. Nie ruszył się, żeby jej pomóc. Był zbyt wstrząśnięty. – Erin, opanuj się. Jeśli ten facet...

– Dominic.

– Jeśli ten facet jej nie chce...

– Nie może. Jest jedynym lekarzem w okolicy i samotnym ojcem.

– Więc trzeba ją uspić. Dobrze to wiesz. Nikt jej nie chce.

– Licz się ze słowami. – Zasłoniła psu uszy. – Nie zdajesz sobie sprawy, co ona przeszła? Wyrzucili ją z samochodu.

– Więc tym bardziej należy to sensownie załatwić. – Nieco złagodniał. – Kochanie, wiem, że doznałaś szoku. Jeśli ten facet nie może jej wziąć...

– Nie jestem twoim „kochaniem”.

– A ja nie mogę mieć psa. – Dominic wpadł na werandę. – Bardzo was przepraszam, ale muszę jechać. Poprosiłem sąsiadkę, żeby posiedziała z chłopcami, ale nie mogę na nią czekać. Jadę do dziecka z alergią. Wstrząs anafilaktyczny. Wyjechali mi naprzeciw. Zostaniecie tu, aż przyjdzie Dulcie? – Biegł w stronę garażu. – Cieszę się, że was poznałem. Do zobaczenia.

Wstrząs anafilaktyczny...

Umysł Erin automatycznie przestawił się na tryb medyczny. Sprawa życia i śmierci...

Nie namyślając się wiele, rzuciła się pędem mimo bólu w stopie i w ostatniej chwili wskoczyła do auta Dominica.

– Jadę z nim! – zawołała przez ramię do Charlesa. –Pilnuj Marilyn!

Dominic znieruchomiał.

– Co jest?!

– Możesz potrzebować pomocnika. Jedź!

– Charles...

– Też jest lekarzem. Rozumie, co to nagły wypadek. Jako specjalista medycyny ratunkowej mogę ci się przydać. Jedź!

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ma pomocnicę. Nie powinien jej zabierać. Gdy na nią zerknął, patrzyła przed siebie, jakby czuła, że on się zatrzyma i każe jej wysiąść.

Erin będzie drugim lekarzem. Jej umiejętności mogą zdecydować o tym, czy mały Jamie przeżyje.

Okej, nie będzie protestował.

Zadzwoił do Campbelltown po ambulans i skoncentrował się na drodze.

– Powiedz mi, co nas czeka – poprosiła, gdy gnał na złamanie karku.

– Jamie ma osiem lat. Już kilka razy otarł się o śmierć. Teraz zjadł pół batonika z muesli, bo kuzyn powiedział, że nie ma w nim orzeszków. Ale były.

– Rodzice mają wszystko, co powinni mieć w takich razach?

– Tak. Adrenalinę, leki antyhistaminowe oraz plan działania. Zrobili to wszystko, ale dzwonił z auta. Słyszałem, jak rzeził.

– Straciłeś czas na wzywianie sąsiadki.

– Nie miałem wyboru – odparł ponuro. – Martin i Nathan nie mogą być bez opieki.

– Ja mogłam...

– Szybciej było zadzwonić po Dulcie, niż liczyć, że się zgłosisz.

Milczała, ale on wyczuł, co chodzi jej po głowie.

– Nie znam cię – odezwał się w końcu. – Nie miałem pewności...

– To zrozumiałe. – Wzruszyła ramionami. – Ale... jeśli nie można spuścić z nich oka, a w okolicy nie ma drugiego lekarza, to czy słuszne jest branie takich podopiecznych?

– Niesłuszne – odparł z wyrzutem. – Im jest potrzebny opiekun przez całą dobę. Jak się przygarnie Nathana, to i Michaela trzeba przygarnąć, a Michael jest niebezpieczny. Matka Martina jest psychiczna. Kocha go tylko wtedy,

kiedy on jest chory, więc robi wszystko, żeby chorował. Zespół Munchausena *per procura*. Jak on zachoruje albo zrobi sobie krzywdę, ona zyskuje uwagę i współczucie innych. Martin zaczyna wierzyć, że droga do zdobycia czyjejs sympatii prowadzi przez samookaleczenie. Potworne... Oni mogą być u mnie albo w pogotowiu opiekuńczym.

– Angażujesz ludzi...

– Jak muszę. Żeby chronić moich chłopców.

– Oblęd.

– Tak – przyznał. Tak, ona ma rację, to oblęd. Dlaczego on to robi?

Szalony facet, pomyślała. Taki... taki...

Od tygodnia chodziła jak skołowana. Nie zdawała sobie sprawy, że Charles zamierza jej się oświadczyć, ani jak bardzo zależało na tym ich rodzicom. Tyle traumatycznych wrażeń, że lepiej, żeby się nie zako...

Nie, nie, nie.

Chyba spadając, walnęłam się w głowę, pomyślała. Od wczoraj wszystko, co było wcześniej, nagle wydało się jej kompletnie nieważne. Teraz liczy się tylko Dominic. Mogłaby mu pomóc.

– Co mi się tak przyglądasz?

– Przepraszam, zamyśliłam się... – O czym powinna myśleć? O pracy, o tym, co ich czeka. – Masz wszystko, co może być potrzebne?

– Mam wszystko, żeby w razie konieczności operować na środku drogi. I tak może być. – Potrząsnął głową. – Ostatnim razem mało nam się nie wymknął. – Zauważyła, że Dominic mobilizuje się wewnętrznie. – Tym razem jest dzień, więc nie potrzebuję oświetlenia. Mam cały zestaw i drugiego lekarza, mimo że w niezbyt stosownym obuwiu. Po co komu sala operacyjna?

Zza wzgórza przed nimi wypadł samochód. To pewnie oni, pomyślała.

Dominic zjechał na pobocze, a po chwili z piskiem opon obok zahamowało auto państwa Sutherlandów. Dom błyskawicznie doskoczył do drzwi. Na tylnym siedzeniu, w ramionach matki leżało dziecko, sine i bezwładne.

Erin otwierała torbę lekarską Dominica, by przygotować instrumenty, podczas gdy on układał chłopca na ziemi. Szukał pulsu w tętnicy szyjnej.

Kiwnął głową. Jest. Jest nadzieja. Ostatnie chwile. Twarz dziecka była obrzęknięta, usta otwarte, a w nich obrzęknięty język, który blokował drogi oddechowe.

Klatka piersiowa chłopca się nie unosiła.

– Trache – powiedziała Erin półgłosem, a on przytaknął, bo tylko tak można było chłopca uratować.

– Skalpel i rurka.

Nie mogła wyjść z podziwu dla jego determinacji i wprawy. Ile on przeprowadził takich zabiegów? Dla niej to nie nowina, mogłaby mu doradzać, ale on ani na ułamek sekundy się nie zawahał.

Za jej plecami ojciec Jamiego modlił się na klęczkach, a matka cicho łkała.

Samo wprowadzenie rurki do tchawicy nie jest gwarancją życia. Przez dwie minuty od ich przyjazdu Erin nie dostrzegła żadnych oznak oddechu. Organizm chłopca przestał walczyć.

Dom dmuchnął w rurkę raz, dwa razy. I nagle drobna klatka piersiowa samoistnie się uniosła, powietrze bez pomocy Dominica wypełniło rurkę wessane przez płuca, które wiedziały, czego im trzeba. Jamie otworzył oczy, w których natychmiast pojawił się strach.

– Hej, Jamie – rzekł Dominic, przytrzymując rurkę.

– Spokojnie, chłopie. Zjadłeś coś z fistaszkami i masz spuchnięte gardło. Włożyliśmy ci rurkę, żeby łatwiej było ci oddychać. Musisz leżeć spokojnie, dopóki obrzęk nie ustąpi.

Chłopiec oddychał miarowo. Będzie żył.

– Mama i tata są przy tobie – ciągnął Dominic. Zwrócił się do stojącej za nim kobiety. – Casey, Jamie oddycha. Nie płacz, bo go przestraszysz. Rob, podejdź, powiedz synowi, że nic mu nie grozi.

Casey otarła łzy, przyklękła przy chłopcu i wzięła go za rękę.

– Jeszcze nie czas na przytulanie – ostrzegł ją Dominic. – Jamie musi leżeć bardzo spokojnie. Poddałeś mu adrenalinę, prawda? Nie zadziałała tak, jak oczekiwaliśmy, ale dzięki temu zyskaliśmy na czasie. Erin, przygotuj strzykawkę z łagodnym środkiem uspokajającym.

– Pani jest pielęgniarką? – zapytała Casey, nie odrywając wzroku od synka.

– To jest doktor Carmody – przedstawił ją Dominic.

– Takiego lekarza chyba jeszcze nie widzieliście. Gumiaki to ostatni krzyk mody wśród lekarek. Myślicie, że gumiaki wyprą białe fartuchy? Są równie seksowne.

Dominic opowiada głupstwa, by rozładować napięcie, przyszło jej do głowy.

Gdy wstrzykiwała chłopcu środek uspokajający, czuła na sobie jego wzrok. Sprawdza ją. Poczwała się jak nowy uczeń w klasie, który stara się zaskarbić sobie sympatię największego osiłka. Nie, ona tu się znalazła, by pomagać, a nie wyobrazać sobie, co Dom o niej myśli.

W końcu przyjechała karetka, żeby zawieźć chłopca do szpitala, gdzie miał spędzić noc.

– Nie mamy na miejscu szpitala – wyjaśnił Dominic z żalem w głosie. – Był, ale ponieważ jest tu tylko jeden lekarz, trzeba było go zamknąć. W Campbelltown jest pediatra, więc Jamie będzie w dobrych rękach.

Chłopiec z matką odjechał karetką, a ojciec za nimi samochodem. Gdy zostali sami na poboczu, Erin znowu zachciało się płakać.

– Wracajmy do domu – powiedział Dominic, gdy przygryzła wargę.

Niespodziewanie w jej ręce znalazła się chusteczka.

– Ja nie... płaczę – wyjąkała. – Ja nigdy nie płaczę.

– Właśnie widzę.

– To tylko...

– Masz za sobą noc pełną wrażeń. – Zawahał się. – Dziękuję ci – dodał półgłosem.

– Mnie?

– Wiesz dobrze, że liczyła się każda sekunda. Myślę, że udało się nam, bo dzięki tobie zaoszczędziłem kilka sekund. Dziękuję, że tu jesteś.

– Drobiazg – jęknęła, zasłaniając twarz chusteczką, żeby nie wybuchnąć płaczem. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Charles czekał na drodze przy swoim porsche.

– O, o... – mruknęła Erin, widząc, że jest zły.

– Mam cię wesprzeć argumentami natury medycznej? – Dominic zaparkował tuż za porsche i natychmiast wysiadł. – Uratowaliśmy życie ludzkie – oznajmił, nim Charles otworzył usta. – Erin spisała się na medal.

Nie poprawiło to nastroju Charlesowi. Gdyby dano mu chwilę do namysłu, do oceny sytuacji, zaproponowałby swoją pomoc, ale to, że zdegradowano go do roli niańki, zdecydowanie popsuło mu humor.

– Dulcie przyszła?

– Tak – odparł Charles. – Jest w domu z chłopcami.



– Dzięki za pomoc. – Dominic wyciągnął do niego rękę, ale Charles jej nie uścisnął. Patrzył na nią, jakby nie wiedział, o co chodzi.

– Charles, musiałam pojechać – powiedziała Erin. Kurczę, dlaczego ona się tłumaczy?

– Oczywiście. My też musimy jechać. Przynieś swoje rzeczy, zdejmij te gumki i ruszamy.

– Z Marilyn.

– Nie możesz sprowadzić psa do domu mojej matki.

– Nie zostaniemy tam. Poproszę moich rodziców, żeby zawieźli nas do domu.

– Myślisz, że oni pozwolą ci trzymać psa?

– Nie jestem dzieckiem.

– No to ja już pójde do chłopców – odezwał się Dominic, rzucając jej pytające spojrzenie. – Na pewno wszystko w porządku? – Troska w jego głosie znowu poruszyła ją do łez. Co się z nią dzieje?

– W absolutnym. – Głośno pociągnęła nosem. Dominic, nie do końca przekonany, ruszył w stronę domu. Na werandzie się odwrócił. – Myślę, że znajdę kogoś, kto odwiezie cię do Melbourne, jak się zdecydujesz.

Nie odpowiedziała. Bała się odezwać.

Ale pomysł z Melbourne wydał się jej wart rozważenia. Pomijając problem z Marilyn, wcale nie miała ochoty na podróż z Charlesem, na pełne wyrzutu spojrzenia jego i swoich rodziców.

Ulega im od ponad dwudziestu lat. Wystarczy.

– Mówię poważnie – rzucił Dominic, po czym wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi.

– Erin, co jest grane? Zachowujesz się jak dziecko.

– Nie.

– Tylko nie mów...

– Ty nic nie mów – zachnęła się. – Dosyć tego. Przykro mi, że źle oceniłeś sytuację. Charles, jesteś moim przyjacielem, a nie moim ukochanym. Kocham moich rodziców, kocham twoich rodziców i na swój sposób kocham też ciebie, chociaż nie tak, jak sobie wyobrażałeś, ale muszę zacząć żyć po swojemu.

Patrzył na nią jak na raroga, a do niej dotarło, że do tej pory musiała zachowywać się jak cielę. Dlaczego trwało to tak długo?

– To o niego chodzi, tak? Oblęd.

– Nie, nie chodzi o Dominica. Poznałam go kilkanaście godzin temu, a to, co teraz ci mówię, dojrzewało we mnie od dłuższego czasu. Zapewne mówię ci to dwadzieścia lat za późno. – Odetchnęła głęboko. – Dziękuję, że po mnie przyjechałeś, ale nie pojedę z tobą. Najpierw muszę się zastanowić, co dalej. Wieczorem zadzwonię do mamy, a ty im wyjaśnij, że zatrzymałam się u człowieka, który jest jedynym lekarzem w promieniu pięćdziesięciu mil. – Wzruszyła ramionami. – Chcę mu się odwdzięczyć, pomagając przy dzieciach i pacjentach w okresie świątecznym. Jeśli on na to nie przystanie, wrócę do Melbourne.

– Z nim? – Zabrzmiało to, jakby Charles mówił o jakimś śmieciu.

– On... Dominic... zaproponował, że znajdzie kogoś, kto mnie odwiezie. Nie on. Charles, między nami nic nie ma. Jakim cudem? – Pokręciła głową. – Mimo to... Dominic jest wyjątkowym lekarzem. Muszę mu się jakoś odwdzięczyć. Jeśli mu się przydam, zostanę.

Gdy weszła do domu, jadł w kuchni jedną z jej babeczek. Z werandy na tyłach domu chłopcy machali Dulcie na pożegnanie. Spojrzawszy w okno, zobaczył znikające porsche Charlesa. Co jest grane... ?

– Odjechał bez ciebie.

– Powiedziałeś, że znasz kogoś, kto mnie zawiezie do Melbourne. –  
Zawahała się. – Jeżeli nie chcesz, żebym została.

– Hm... Jeżeli nie chcę, żebyś została?

– Pomyślałam, że mogę ci się przydać – wyjaśniła niepewnie. – Pod  
nieobecność Tansy. Albo w nagłych przypadkach... jeśli chcesz.

– Z powodu psa?

– W Melbourne mam znajomych, którzy go wezmą. – Uniosła wysoko  
głowę. – Na kilka dni, dopóki się nie zorganizuję. Proponuję ci, że zostanę tu  
przez święta, ale pod warunkiem, że ci się przydam. Jeśli mam być bez-  
użyteczna, wyjeżdżam.

Ona chce zostać przez święta? Zaniemówił.

Powinien być zły, że nie tylko sprowadziła mu psa, to jeszcze sama chce  
mu siedzieć na głowie.

Powinien zachować czujność. Charles wydał mu się wyjątkowo  
zaborczy, a on nie ma ochoty pakować się w rodzinne konflikty. Powinien  
mieć się na baczności, bo sam jej wygląd, choćby teraz... W podartych  
dżinsach, poplamionej wiatrówce i jego za dużych skarpetach była  
zniewalająco piękna, a w jego życiu nie ma miejsca na to, co mu teraz chodzi  
po głowie.

Nie mógł pozbyć się tych myśli. Każdy zdrowy mężczyzna by o tym  
pomyślał.

– Nie wyrzucisz mnie? – zapytała niczym jasnowidz.

– Robisz pyszne babeczki.

– Znam jeszcze inne sztuczki. Ale mam nieco ograniczone ruchy. –  
Usiadła, podnosząc nogę w za dużej skarpetce. – Chyba opatrunek się zsunął.

– Zaraz go poprawię. Chcesz coś przeciwbólowego?

– O tak – przytaknęła pospiesznie. – Najpierw coś na ból, a potem opatrunek.

– Uczysz mnie, jak leczyć?

– Jestem apodyktyczna – przyznała, odzyskując pewność siebie. – Powinieneś to o mnie wiedzieć. Planuję kierować bardzo sprawnie działającym oddziałem ratunkowym. W zeszłym tygodniu przyjąłem taką ofertę. – Nie zabrzmiało to zbyt skromnie.

Dominic się uśmiechnął.

– Gdzie?

– Oddział ratunkowy w szpitalu Melbourne East.

– Ile ty masz lat? – Tym razem to ona się uśmiechnęła, widząc jego zdziwienie.

– Ach, te twoje maniery... Zaraz mnie zapytasz o moje życie intymne.

– Odnoszę wrażenie, że twoje życie intymne aktualnie oddala się wypasionym porsche.

– Domyślny jesteś. Odjeżdża w siną dal. – Westchnęła. – Nie przejmuj się. Będzie ze mnie udana stara panna. Zamierzałam hodować koty, ale teraz...? Może to będą buldogi?

– Mówisz serio?

– Serio.

– Twój narzeczony był zły?

– On nie jest moim narzeczonym. – Spiorunowała go wzrokiem. – To on tak myślał. Wyobraził sobie przeróżne rzeczy. Kiedy to do mnie dotarło... – Wzruszyła ramionami. – Przepraszam, to nie twój problem.

– Więc... jakie masz plany?

– Pomóc ci. Jeśli przyznasz, że tego potrzebujesz. Jednak zważywszy, że jesteś facetem, możesz mieć z tym problem, ale myślę, że jak się postarasz, to ci się uda.

Uśmiechnęła się. Niezwykła kobieta. Z jego punktu widzenia w jej życiu panuje chaos. W ciągu dwunastu godzin mało nie zginęła, wylądowała w święta u obcych, przygarnęła psa i prawdopodobnie straciła całkiem niezłego narzeczonego, a mimo to stać ją na uśmiech.

Czuł niejasno, że najrozsądniej byłoby jak najszybciej jej się pozbyć.

– Masz dom w Melbourne?

– Służbowe mieszkanie.

– To znaczy, że...

– Że muszę szukać nowego lokum.

– Zamienisz Charlesa na Marilyn?

– Nie mieszkam z Charlesem – obruszyła się. – Nawet z nim nie sypiam.

On sobie to wszystko ubzdurał. Myślę, że na tę chwilę zbierało się od wielu lat. Od dziecka starałam się zadowolić rodziców, resztę rodziny, zadowolić Charlesa. I nagle w tym tygodniu przeżyłam dwa wstrząsy. Charles mi się oświadczył, a potem miałam wypadek. Każdy doznałby objawienia.

– Objawienie... – powiedział słabo.

– Tak, objawienie. Hm... Dostanę ten środek przeciwbólowy?

– Bardzo cię boli?

– Bardzo.

Doskonale. W razie wątpliwości wrócić do priorytetów. Rany stopy.

– Okej, środek przeciwbólowy. – Wstał. – Mam cię zanieść do przychodni?

– Nie, dzięki. Wystarczy. Jeśli mam tu zostać przez święta, muszę być niezależna.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami, ale czuł się zawiedziony. Gdy niósł ją poprzedniego wieczoru... czy to było objawienie? Nic z tych rzeczy. Po prostu ona jest kobietą, a on mężczyzną, który od dawna jest sam. Nic dziwnego, że jego organizm tak zareagował... jakby chciał poznać ją lepiej.

– Nie – powiedziała.

– Słucham?

– Hm... – Zaczerwieniła się, a on patrzył na nią zafascynowany.

– Na co się nie zgadzasz?

– To nic ważnego... Pomyliłam się. Wydawało mi się, że wiem, o czym pomyślałeś. Ale jeżeli słusznie się domyślałam... – Odzyskiwała równowagę i znowu stała się uszczypliwa. – To zdecydowanie „nie”. Wróćmy do meritum. Chcesz mnie?

Czy ją chce? Tak, tak, tak.

– O tym nie mówimy – mruknęła. – Doskonale wiesz, o co pytam. Czy chcesz mnie na czas świąt w roli opiekunki do dzieci, do psa, a także drugiego lekarza?

– Tak. – Więcej nie powie.

– To teraz środek przeciwbólowy, a potem lunch – zdecydowała. – A jeszcze potem chłopcy. Spróbujemy zrobić drugą blachę bułeczek. Tym razem na drożdżach. Ty przez ten czas zajmuj się leczeniem.

– Poinformowałem wszystkich, że w święta będę niedostępny.

– To idź do przychodni uporządkować dokumentację. My będziemy w kuchni, a ty rób, co ci się podoba.

– A jak zechcę być w kuchni?

– Wybór należy do ciebie, ale ja dam ci wolną rękę. Chcę się odwdziżyć za to, że pozwoliłeś mnie i Marilyn zostać. Dam ci wolność na czas Wielkanocy. Traktuj mnie jak kucharkę i niańkę, a sam zajmij się sobą.

– Tak jest, psze pani. – Podał jej rękę, żeby pomóc jej wstać.

Po chwili namysłu pokręciła głową.

– Nie. Nie planuję wpaść z deszczu pod rynnę. –W drzwiach dostrzegła Martina i Nathana. Na ich twarzyczkach malowało się pełne nadziei wyczekiwanie. –Chłopaki, pomożecie?

Nie patrząc na Dominica, odczekała, aż chłopcy podadzą jej rękę, po czym pozwoliła się podnieść z krzesła. Dom obserwował tę scenę.

Z zazdrością? Bzdura.

A jednak z zazdrością.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Bał się Wielkanocy od chwili, kiedy Tansy oznajmiła, że musi wziąć urlop. Kiedy indziej chłopcy byliby w szkole, poza tym miałby do pomocy matki innych dzieci. Ale w ferie... wszyscy albo wyjechali, albo byli bardzo zajęci. Po sąsiedzku miał Dulcie, ale teraz przyjechała do niej siostra z mężem.

Nie chodzi tylko o to, że był sam, ale o to, że chłopcy się nudzili, tym bardziej że ich koledzy powyjeżdżali. Nie miał czasu nimi się zająć.

Ale zjawiała się Erin. Kiedy zmienił jej opatrunek, wróciła do kuchni. Ściągnęła z internetu przepisy na wielkanocne bułeczki, przedyskutowała ich zalety z chłopcami, jednocześnie starając się dojść, dlaczego ciasto Doma nie urosło, po czym zdecydowała, że wypróbują trzy przepisy. Na ich szczęście spiżarnia Tansy okazała się doskonale zaopatrzona.

Upiekli trzy wersje bułeczek, wszystkie się udały. Ku radości Martina zgodnie orzekli, że jego są najsmaczniejsze, potem te upieczone przez Erin, a na końcu Nathana, ale wszystkie były o niebo lepsze od placków Dominica.

Nawet nie poczuł się tym dotknięty. Najedli się tak, że na kolację wcisnęli tylko trochę zupy. Co chwila zaglądali do Marilyn. Chłopcy przez cały czas gawędzili z Erin, jakby znali ją od urodzenia. Oczarowała ich, o co trudno było mieć do niej pretensję.

Dominic czuł, że i on ulega jej urokowi.

Powinien pojechać do jej auta po rzeczy. Ale dom tak pięknie pachniał ciastem i rozbrzmiewał śmiechem, że nie miał ochoty się ruszać. To iluzja, upominał sam siebie, ale przecież powinien się nią cieszyć, póki trwa.

Następny dzień zapowiadał się wspaniale. Całkiem inaczej, niż sobie wyobrażał.



W ciągu dnia przyjął sześcioro pacjentów. Nie musiał do nich wyjeżdżać, ale wymagali jego uwagi. Erin odmieniła cały dzień. Ona jest rewelacyjna, pomyślał, wracając do kuchni po położeniu chłopców spać. Erin, taki wesoły pogodny skrzat.

Gdy wszedł do kuchni, siedziała tak smutna, że stanął w miejscu.

– Co się stało?

– Nic. Przepraszam. Zamyśliłam się.

– Miałaś taką minę, jakby świat się zawalił.

– Nie przesadzaj.

– Umówmy się, że to jest smutek z powodu utraconego narzeczonego.

– On nie jest moim narzeczonym – prychnęła. – I nigdy nie był. Przyjął sobie takie założenie, ale nigdy mnie o tym nie poinformował. Ja miałam chłopaków, on dziewczyny, ale zawsze był niedaleko. Kiedy zaproponowano mi tę nową pracę, nagle stwierdził, że jestem przesadnie ambitna. Pora, żebym się dowiedziała, gdzie jest moje miejsce. Romantyczne?

– Chyba nie bardzo.

– Zdecydowanie nie bardzo. Nie wolno marzyć o skrzypcach, słowikach, fajerwerkach? To chyba tak powinno wyglądać?

– Chyba.

– To znaczy, że ciebie też to nie spotkało.

– Myślę, że...

– Jeśli mi powiesz, że tak dzieje się wyłącznie na kartach romansów, to się rozplaczę. – Spochmurniała. – Wierzę głęboko w prawdziwą miłość. A te wszystkie bohaterki romansów, które umierają z powodu nieodwzajemnionego uczucia? Albo gasną na suchoty?

– Tego sobie życzysz? – Uśmiechnął się łagodnie. – To może powinnaś ograniczyć spożycie bułeczek.

– Drwiesz z moich romantycznych marzeń. – Uśmiechała się, ale gdy wszedł do kuchni, była naprawdę smutna.

Nie wolno mu angażować się emocjonalnie. Życie tej kobiety to nie jego biznes. Nie będzie zadawał zbędnych pytań. Na pewno jest zmęczona. Powinien położyć ją do łóżka. Nie, to zbyt ryzykowne. Powinien odesłać ją do łóżka, ale przeczuwał, że jeśli będzie sama, jej smutek powróci.

Więc został, wbrew zdrowemu rozsądkowi. Erin siedziała przy piecu, z nogami na taborecie. Podeszedł do niej, stając tyłem do pieca, jak najbardziej lubił.

Nie wiedział, co powiedzieć.

Jaka ona... piękna. Ni stąd, ni zowąd zapragnął jej dotknąć, pogłodzić po włosach, scałować jej smutek...

Niestosowne. Powinien nie schodzić z poziomu relacji lekarz–pacjent. Przecież Erin jest jego pacjentką. Przyszła do jego domu w poszukiwaniu pomocy.

Więc pocałowanie jej...

– Wasze rodziny się przyjaźnią? – zagadnął w końcu. Rzuciła mu spojrzenie pełne oburzenia.

– Ja tylko zapytałem. Wyczuwam w tej sytuacji jakieś podteksty... dysfunkcje. Rodziny dysfunkcyjne to moja specjalność. Herbata?

– Poproszę. – Patrzyła, jak Dominic wyparza czajniczek. – Nie słyszałeś o herbacie w torebkach?

– Słabo działa – odparł. – Na dysfunkcje.

– Moja rodzina nie jest dysfunkcyjna.

– Wiem coś o tym jako rodzic z doskoku. Ci chłopcy mieszkają ze mną, dopóki ich biologiczne rodziny nie uporają się ze swoimi problemami, ale mam czas nawiązać z nimi bliską więź. Gdyby doszło do mnie, że któryś z nich miał

wypadek, czułbym potrzebę skontaktowania się z nim. Wydaje mi się, że twoi rodzice zlecili to Charlesowi. O ile się orientuję, to nawet do ciebie nie zadzwonili.

– Jestem dorosła.

– Więc kiedy należy przestać się bliskimi przejmować?

– Oni się mną przejmują.

– Aha.

Milczeli dłuższą chwilę, podczas gdy Dominic łyżeczką starannie odmierzał herbatę.

– Przejmują się. – Nie spuszczała wzroku z czajniczka. – Bardzo. Chyba są wniebowzięci, że wyjdę za Charlesa.

– Wydawało mi się, że za niego nie wyjdiesz.

– Nie wyjdę. Ale Charles twierdzi, że oni są o tym przekonani. Dom...

– Słucham?

– Czy ty jesteś wzorem wszystkich cnót?

– Nie rozumiem.

– Charles jest bardzo... opanowany. Wypicie teraz herbaty uważałby za bardzo sensowne posunięcie.

– Nie chcesz herbaty?

– Powinnam chcieć. Bardzo rozsądnie mi ją zaproponowałeś.

– Jeżeli wolisz...

– Na przykład whisky – odparła bez namysłu. – Jak nie ma whisky, to kieliszek czerwonego wina. Ale obawiam się, że... tego nie pochwalasz.

– Wymysł szatana – mruknął, zachwycony jej skruszoną miną.

– Przepraszam – szepnęła potulnie. – Masz rację.

– Ale jeśli zadowoli cię francuski koniak...

Na jej twarzy zaszła błyskawiczna zmiana. Wszystko z niej można wyczytać, pomyślał, tłumiąc rozbawienie. W środku po prostu trząsł się ze śmiechu. Dziwne.

– Masz prawdziwy koniak?

– Wyłącznie jako lek. Trzy razy dziennie przed posiłkiem albo trzy lampki przed snem. Do uznania pacjenta.

– Poproszę teraz – mruknęła. – Pacjent musi natychmiast dostać lek.

Popijając koniak, rozmawiali o pracy, bo był to temat najmniej ryzykowny. Studiowali w tej samej uczelni, ona cztery lata niżej. I nie zauważył jej wtedy? Nie mógł, bo nie podnosił głowy znad podręczników.

Okazało się, że ambitna Erin ukończyła studia jako jedna z najmłodszych, wybierając specjalizację w zakresie medycyny ratunkowej.

– Kocham to – oznajmiła. – Sto procent adrenaliny.

– Ale kompletnie nie znasz swoich pacjentów.

– Nie znam. Dzięki temu nie mam problemów emocjonalnych.

– Nie lubisz emocji?

– Miałam ich tyle, że wystarczy mi do końca życia.

– Powiesz więcej?

Pokręciła głową i zapatrzyła się w kieliszek. Milczała, a on nawet nie miał jej tego za złe. Dobrze się czuł w jej towarzystwie. Była ciepła i zabawna, ale mimo to domyślał się, że coś ją gnębi.

Skorzystała z grzebienia, który jej wręczył, i teraz jej lśniące włosy kusily go coraz bardziej, pragnął jej dotknąć... i pocałować.

– Straciłam brata i siostrę – odezwała się nagle. Oprzytomniał.

– Jak to się stało?

– Zginęli, kiedy miałam cztery lata. – Odniósł wrażenie, że Erin mówi do siebie, że jest jej obojętne, czy ma słuchacza, czy nie. – Sarah miała siedem lat,

a Connor dziewięć. Za kierownicą siedział ojciec Charlesa. Charles przyjaźnił się z Connorem. Tir wjechał na skrzyżowanie na czerwonym świetle. Sarah i Connor siedzieli z tyłu, zginęli na miejscu.

– Potworne... – Nie wiedział, co powiedzieć.

– Byłam za mała, żeby rozumieć, co się stało. Pamiętam tylko, że wszyscy płakali. Przez długie lata. I od tej pory Charles i jego rodzice uczestniczą we wszystkich rodzinnych spotkaniach.

Uff. Niezłe pole do popisu dla psychoterapeuty, pomyślał.

– Więc dzisiaj... wszyscy będą zrozpaczeni – wyszeptała. – Nie będą wiedzieli, co myśleć. Jak kładłeś chłopców spać, zadzwoniłam do nich, ale mama była tak zdenerwowana, że nie chciała ze mną rozmawiać. Więc teraz Charles jej tłumaczy, że jestem w szoku, ale mi to przejdzie, on się o to postara. A moi rodzice mu uwierzą i dadzą mi spokój, żebym sobie wszystko spokojnie przemyślała. W niedzielę Charles zjawi się tu znowu, będzie bardzo opanowany i przedstawi swój sensowny plan, co zrobić z Marilyn. – Głos jej się łamał.

Obce były mu takie emocje, a mimo to bezwiednie pogładził ją po włosach. Nakryła ręką jego dłoń.

W porządku. Tyle mu wolno. Ona tego potrzebuje.

Ale dlaczego on poczuł taką potrzebę?

Mógłby ją objąć, pocałować. Pocieszenie jest w porządku, może nawet więcej niż w porządku. Przenikające go ciepło sprawiło, że poczuł, jakby narodziło się coś bardzo ważnego.

– Dominic...

– Uhm.

Cofnęła rękę.

– Myślę, że Marilyn i szczeniakom będzie lepiej tutaj, przy piecu – powiedziała cicho. Speszył ją ten przelotny kontakt? – Gdyby położyć ich w rogu, nikomu by nie przeszkadzali. Nie mogą przez całe święta leżeć w holu. Przeniesiesz ich?

Obserwowała psią przeprowadzkę. Dominic ostrożnie przeniósł szczeniaki pod czujnym okiem Marilyn, która na koniec sama się ułożyła na nowym posłaniu.

Po raz pierwszy domowa atmosfera nie napawała go strachem. Powinien pójść spać, bo od świtu jest na nogach, a nikt mu nie zagwarantuje dobrze przespanej nocy, ale nie miał ochoty wychodzić z kuchni.

– Opowiedz mi o sobie – odezwała się Erin jakiś czas później.

Nie, nie, powinien wyjść.

– Nie bardzo jest o czym.

– Jest, jest. Twój rodzice byli z ciebie dumni, jak ukończyłeś studia?

– Podczas uroczystości wręczania dyplomów Ruby siedziała w pierwszym rzędzie i płakała jak bóbr.

– Kto to jest Ruby?

– Moja matka zastępcza.

– Twój rodzice...

– Zniknęli lata temu... Matkę po raz ostatni widziałem, jak miałem osiem lat, a mojego biologicznego ojca aresztowano sześć lat temu za napad z bronią. Dowiedziałem się o tym z gazet. Znałem tylko jego nazwisko.

– To wyjaśnia, dlaczego wzięłeś wychowanków.

– Możliwe – burknął niechętnie.

– Od dziecka chciałeś zostać lekarzem?

– Tak.

– Dlaczego?

Wzruszył ramionami, po czym pomyślał: Dlaczego nie? Opowiedz, jak było.

– Jak byłem mały, często się przeprowadzaliśmy. Mama była... trochę zaburzona. Wierzyła w miłość od pierwszego wejrzenia, a to oznaczało, że raz po raz podążaliśmy za kolejnym draniem. Pewnego wieczoru... – Wzruszył ramionami. Pomyślał, że nadal są miejsca, których już nie chciałby oglądać. – W nomenklaturze policyjnej to się nazywa awantura rodzinna. Przyjechała policja, sąsiedzi krzyczeli, było zamieszanie. Zjawił się też lekarz, sympatyczny siwy pan. – Dominic masował kark. – Rozejrzał się po pobojuwisku i zaczął mnie szukać. Schowałem się pod krzakiem hortensji w rogu ogrodu. Kiedy mnie znalazł, oznajmił, że ja mam już dosyć, że od teraz to on zaopiekuje się moją mamą. Wsadził mnie do samochodu i zawiózł do Ruby. Pół godziny później siedziałem u Ruby w kuchni, popijając gorącą czekoladę, a Ruby i doktor wybierali kolory włóczki na skarpetki, które miała mu zrobić oraz gawędzili o tym, kto wygra najbliższy mecz futbolowy.

– Zaczny człowiek.

– Oboje zacni. Doktor Roberts i Ruby. Wyjątkowa para. Im nigdy się nie odwdzięczę, ale mogę przyjmować pod swój dach dzieci z problemami.

– Od dawna to robisz?

– Od kiedy spotkałem Tansy. Szukałem pracy na prowincji. Gdzieś, gdzie byłoby mniej pracy niż tutaj, ale poszedłem na rozmowę, zanim się zorientowałem, że to jest koniec świata. Tansy była członkiem panelu, który mnie przesłuchiwał. Wspomniałem, że chcę część czasu poświęcić wychowankom i że muszę mieć duży dom. Ledwie to powiedziałem, już miałem tę pracę i gosposię.

– Domyślam się, że Tansy nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Tansy jest niesamowita. – Kurczę, za bardzo się otworzył. – A ty? Dlaczego zostałeś lekarzem?

– Chyba nie miałam wyboru. Dwoje rodziców i jedno dziecko tam, gdzie powinno być troje. Praktycznie czworo rodziców – mówiła. – Rodzice Charlesa też mogliby być moimi. Wszyscy zakładali, że oboje dokonamy wielkich rzeczy. Jego rodzice byli przekonani, że on zostanie lekarzem... Ale on też tego chciał. A ja poszłam za jego przykładem.

– Lubisz tę pracę.

– Uwielbiam. – Rozchmurzyła się. – Nawet nie myślałam, że tak będzie. Cała ta moja rodzina jest bardzo zawiedziona, że nie wybrałam bardziej prestiżowej specjalizacji. Uważają to za zboczenie i wierzą, że wkrótce zmienię zdanie.

– Zboczenie... – Spojrzał na Marilyn. – Ty i ona. Dwa zboczenia.

– Uprzejmy jesteś. – Uśmiechnęła się promiennie. Jaka ona piękna. I zmęczona.

Erin ziewnęła, a zaraz po niej Marilyn.

Popatrzył na nie ciepło.

– Marsz do łóżka – zarządził. – Marilyn na swoje legowisko, a ciebie zaniosę na twoje.

– Nie trzeba, sama dojdę. – Sięgnęła po kule. – Nie –zaprotestowała, gdy chciał jej pomóc. – Dziękuję ci, Dom. Byłeś wspaniały.

Wcale się tak nie czuł. Mało nie umarł, stojąc w bezruchu i obserwując, jak Erin wychodzi z kuchni.

– Dobranoc.

– Dobranoc – szepnęła. – Dziękuję. Gdy wyszła, w kuchni powiało chłodem. Dominic bez przekonania zabrał się za mycie naczyń.



Potem nalał wody do miski Marylin. Zawahał się, stojąc nad suką. Chyba pora na spacer, pomyślał. Wziął ją na ręce, mimo że poruszała się już całkiem sprawnie, ale jego ciągle nie opuszczała potrzeba przeniesienia kogoś.

Najchętniej Erin, ale pod ręką miał tylko Marilyn.

Stał na dworze, czekając, aż suka załatwi swoje sprawy. Pod rozgwieżdżonym niebem panował sielski spokój. Więc powinien mu się udzielić. Nic z tego, bo tuż obok, za ścianą, Erin układa się do snu. Erin...

Marilyn obwąchiwała trawę, zlizywała rosę, zaciągała się nowymi zapachami. Wyglądała mizernie, ale było oczywiste, że jest bezgranicznie wdzięczna za tę chwilę odpoczynku, zanim wróci do swoich dzieci.

– Życie jest w porządku – mruknął pod nosem. Odpowiedz nadeszła z werandy.

– Z tego miejsca też jest w porządku.

Erin siedziała na ganku w kręgu światła lampy pod sufitem. Piękna. Piękna do utraty tchu.

– Miałaś iść do łóżka. – Zrobiło mu się głupio.

– Ty też.

– Coś nas zatrzymuje? – Wziął Marilyn na ręce i wniósł ją po schodkach. Wielkie psisko spoglądało na niego z uwielbieniem. – Nie patrz tak na mnie – odezwał się. – To doktor Carmody cię uratowała.

– A ty uratowałeś nas obydwie – uściśliła Erin.

Psu przyda się trochę ruchu, pomyślał, stawiając Marilyn na werandzie. Suka zamerdała ogonem, po czym niepewnym krokiem ruszyła do drzwi.

Erin gwałtownie się poruszyła, żeby ją przepuścić, ale sama się zachwiała. Dominic znalazł się przy niej jednym susem. Gdy przytrzymał ją za ramiona, kule wypadły jej z rąk. Teraz już nie mógł jej puścić.

– Raz jedna, raz druga – westchnęła Erin. – Ja i Marilyn. Twoje chodzące podopieczne.

– Ledwie chodzące – zauważył. – Mam cię zanieść na kanapę?

– To nie jest dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Myślę, że wiesz. – Wzruszyła ramionami. – Jesteś za blisko, jesteś zbyt męski, a na górze nie czuwa twoja małżonka jako przyzwoitka.

– Szkoda.

– Wyobrażam sobie, że bardzo ci jej brakuje. – W dalszym ciągu nie odsuwała się od niego.

– Nikogo mi nie brakuje. – Dlaczego mu się to wyrwało? Przez to swobodna atmosfera nagle stała się bardzo intymna.

– Nie wątpię. Ale... mnie potrzebni są różni ludzie. Hm... Kiedy wraca Tansy?

– Jej siostra urodziła tydzień temu. Myślę, że za dwa tygodnie.

– Nie mogę tu tyle zostać.

– Wiem.

– Należało pojechać z Charlesem.

– Ale zdecydowałam, że nie pojedziesz.

– Tak, bo chciałam ci pomagać. – Westchnęła. – Marny ze mnie pomocnik.

– Pomogłaś mi. I pomagasz. – Jego dłonie nadal spoczywały na jej ramionach. Gdyby tego nie chciała, odsunęłaby się, a ona się nie odsuwa. Chyba nawet o niego się opiera.

Przyciągnął ją nieco bliżej. Przyjemnie.

– Dom, przepraszam, że ci się wyżalam – mówiła półgłosem. – Tak nie wolno. Tyle dla mnie zrobiłeś, a ja nie pozwalałam ci iść spać i oczekuję od ciebie współczucia, mimo że tyle innych spraw masz na głowie.

– Za mało.

– Czego? Współczucia?

– Sam nie wiem. – Spoglądał na jej twarz w księżycowej poświacie. – Podejrzewam, że najmniej w tym współczucia.

– Też tak myślę. – Wydawała się onieśmielona. – Nie dostrzegam tu współczucia. Czułam, że muszę cię przeprosić, ale jak już to zrobiłam, to... pójdźmy krok dalej.

W głowie zaświtała mu pewna myśl. Genialna. Może pomyśleli o tym samym? Szalona, nie szalona, kogo to obchodzi? Warto się nią podzielić.

– Gdybym chciał cię pocałować...

Ku jego zdumieniu uśmiechnęła się i przytaknęła.

– Powinno nam pomóc. Podziałać tonizująco.

– Tonizująco?

– Jak rycyna. Żebyśmy porządnie się oczyścili. Żebyśmy mieli pewność, że wszystko z nami w porządku.

– Mam cię pocałować czy skierować na kolonoskopię?

– Co chcesz. Nadużywam twojej gościnności. To ty wyznaczasz cenę. – Uśmiechnęła się szeroko, po czym uniosła głowę buntowniczym gestem. Przeciwno komu? Charlesowi? Przeszłości? – Jeśli to nie za wielka fatyga.

– W najmniejszym stopniu – odparł półżywy. Nie powiedział nic więcej. Zajął się czymś znacznie przyjemniejszym.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie wypadło to najlepiej.

Bo nie trzymał jej jak należy. Gdy ich wargi się spotkały, Erin się zachwiała i z pocałunku nic nie wyszło.

– Ups! – Odchyliła się nieco. – Przepraszam – wykrztusiła, spoglądając na niego z ukosa. – Jestem napięta jak struna w stradivariusie.

– W stradivariusie?

– W skrzypcach. Nie umiesz grać na skrzypcach?

– Nie.

– Dzięki Bogu.

– Nie lubisz skrzypiec?

– Skrzypce są w porządku, jak gra ktoś inny, ale rodzice uroili sobie, że zostanę wirtuozem, jednak bozia nie dała talentu...

Interesujące. Idealny temat do pogawędki podczas przyjęcia. Ale oni nie są na przyjęciu. Są tutaj.

Może ta kobieta wydaje się pewna siebie, ale jeśli zamiast całować papse o skrzypcach... to tylko z nerwów.

– Coś cię rozprasza?

– Trochę się denerwuję – przyznała.

– Całowanie jest łatwiejsze od gry na skrzypcach –zapewnił ją. I nim wymyśliła nowy pretekst, przytulił ją mocniej. Teraz trzymał ją tak, że nie mógł spuścić. Pocałował ją po raz drugi.

Tego nie da się opisać. Z każdą sekundą było lepiej i lepiej. Mimo że nigdy poważnie się nie angażował, znał się na pocałunkach. Miał na swoim koncie sporo niezobowiązujących romansów, ale na coś takiego nie był przygotowany.

Ten pocałunek go po prostu zelektryzował. Gdyby mógł widzieć się teraz w lustrze, na pewno zobaczyłby, jak włosy stają mu dęba. Spodziewał się zwykłego pocałunku, ale od chwili, gdy ich usta się złączyły, już nic nie było jak przedtem. Ani jak powinno być.

Nie mógł pozbierać myśli, bo wszystkie jego zmysły skupiły się na pożodze, jaką ta kobieta w nim roznieciła, a umysł po prostu się wyłączył pod wpływem nieznanych mu dotąd doznań. Nawet nie wiedział, jak bardzo mu ich brakowało. Przyłgnąwszy do niego całym ciałem, Erin przekazywała mu dar najcudowniejszy... afirmującą życie szczodrość.

Miał wrażenie, że w tej chwili stanowią jedno. Gdy położył jej dłonie na biodrach, wspięła się na palce, by udami oprzeć się o jego uda. Zareagował błyskawicznie. Ta najpiękniejsza kobieta na świecie go pożąda. Ale...

Desperacja. To słowo wkradło się do jego umysłu wbrew jego woli. Nagle zadźwięczało głośno i donośnie. Trzymając ją w ramionach, instynktownie wyczuł, jak bardzo jest zdesperowana.

Ta myśl już nie dała mu spokoju. Erin oddaje się w jego ręce, żeby udowodnić sobie coś, co nie ma z nim najmniejszego związku. To odkrycie zdmuchnęło płomień. Nie wiedział, jakim cudem wyhamował, jakim cudem odsunął ją na odległość ramion, by zajrzeć jej w oczy. By sprawdzić, czy dostrzeże w nich to, co podpowiadał mu instynkt.

Instynkt go nie mylił. Uśmiechała się, ale za tym uśmiechem kryło się zakłopotanie. Całowałem ją tak brutalnie? – pomyślał, spoglądając na jej nabrzmiałe wargi. Ujęła jego głowę, by przyciągnąć ją do siebie, ale na widok tych warg oraz zmieszania w jej spojrzeniu pokręcił głową.

– Nie.

– N... nie? – zdumiała się. Była gotowa mu się oddać. To przecież dorosła kobieta, wie, czego chce.

Ale to słowo nie dawało mu spokoju. Desperacja.

– Erin, dlaczego to robisz?

– Co takiego?

– Bez wahania poszedłbym z tobą do łóżka – wtulił twarz w jej włosy – ale czuję, że masz kłopoty i nie jestem pewny, czy całujesz mnie, kierując się słusznymi pobudkami.

Poczuła się, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody. Odsunęła się, przez dłuższą chwilę wpatrywała mu się w oczy, po czym uwolniła się z jego objęć.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała, lecz jej nie uwierzył.

– Masz chorą nogę – rzekł półgłosem. – Jesteś moją pacjentką...

– Nie jestem.

– Zapukałaś do tego domu, bo na bramie wisi tabliczka informująca, że mieszka tu lekarz. Nie wolno mi cię wykorzystać...

– Nie wykorzystujesz mnie. Dom, to, co do ciebie czuję...

– A ja do ciebie – mruknął. – Kiedy cię obejmuję albo całuję... Ale ty nie wiesz, co się dzieje z twoimi emocjami.

– Nieprawda! – oburzyła się.

– Zgoda, nieprawda, więc to moja wina. Nie chcę doznań, które we mnie wywołujesz. Nie chodzi o to, że mi nie pochlebia...

– Pochlebia?

– Każdy mężczyzna czułby się zaszczycony.

– To dla ciebie... komplement? – Patrzyła na niego z niedowierzaniem. – Może ty jesteś gejem?

– Broń Boże.

– Wobec tego moja duma dostała niezłą nauczkę.

– To nie ma nic wspólnego z dumą.

– Owszem, ma – zauważyła z goryczą. – Rzuciłam ci się w ramiona...  
– Ja też się rzuciłem...  
– Masz się z czego cieszyć... – Westchnęła. Kameleon zmieniający barwę wraz z nastrojem. – Może faktycznie był to słaby pomysł. – Przymknęła oczy.  
– Wobec tego zapomnijmy o tym, zgoda? Czy nadal mogę zostać u ciebie przez święta?

– Oczywiście.  
– Dzięki Bogu. Jaki szlachetny... A mnie by się przydał namiętny.  
– Przepraszam.  
– I na dodatek się kaja. – Uśmiechnęła się. – Gdzie ty byłeś, kiedy robiłam plany życiowe? Nie, nie. – Powstrzymała go gestem dłoni. – Nie mów. Wiem, byłeś zajęty pomaganiem dzieciom, szlachetnymi czynami i innymi sprawami, o których nawet mi się nie śniło.

– Ocaliłeś od śmierci Marilyn. To też jest szlachetne.  
– Ocaliłam, ale i tak tobie nie dorównam. Nigdy. Jesteś wspaniałym facetem. Podziwiam cię jak lekarz lekarza. Masz rację, trzymajmy się spraw zawodowych. Idę spać. Dobranoc.

Odwróciła się, weszła do domu i dalej, do swojej prowizorycznej sypialni. Patrzył za nią, czując, że do śmierci nie zapomni tego, co kilka minut wcześniej miało miejsce, że w jego życiu zaszła nieodwracalna zmiana.

Jak tu zasnąć po czymś takim? Było sto powodów, dla których powinna zadzwonić do rodziców i poprosić, żeby po nią przyjechali.

Byliby bardzo niezadowoleni z powodu zmiany świątecznych planów, ale one chyba już i tak wzięły w łeb. Charles pewnie wcześniej dał im do zrozumienia, że w Wielkanoc usłyszą Dobrą Nowinę.

A ona zakochuje się w innym.

Obłąd. Dominic się wycofał, ponieważ wyczuł jej stan ducha i chyba się nie pomylił. Dominic nie ma ochoty na... coś trwałego. Powiedział to wprost.

Ona też nie powinna się z tym spieszyć. Kiedy może przyznać się otwarcie, że zakochała się w nim po uszy?

Jak tu zasnąć po czymś takim? Leżał na zdecydowanie za szerokim łożu, zastanawiając się, czy nie powinien wymienić go na węższe. Po co mu podwójny materac?

Erin jest wyjątkowa. Tak samo zdezorientowana jak on. Jego rodzina złożona z zaburzonych osobników połączonych luźnymi więzami krwi praktycznie nigdy nie istniała. Jednak wieloosobowa rodzina Erin przerażała go jeszcze bardziej.

Rozmyślał o swoich doświadczonych przez los małych podopiecznych i o Erin, która rosła z widmem nieżyjącego rodzeństwa. Nie wiadomo, co gorsze.

Jeszcze gorzej by się stało, gdyby się z nią związał.

Dlaczego? Odrobina szaleństwa, która mogłaby się przerodzić w miłość? Miłość. Pokochać Erin?

Oszalał? Miałby kobietę dręczoną poczuciem winy oraz obowiązku wobec dwóch par rodziców i faceta, który uważa, że jest mu pisana.

Czy Charles pragnie jej tak bardzo jak on? Idiotyczne pytanie. Cała ta sytuacja jest idiotyczna.

Do tej pory pamięta, jak wykorzystywano go jako swoistą linę do przeciągania w rodzinnych porachunkach. Harmonia rodzinna jest dla innych, on nawet nie ma ochoty próbować.

Więc dlaczego Erin jest inna?

Bo jest ułomna. Dostrzegał w niej ten sam niedosyt co u chłopców, może nawet i u siebie. Nie buduje się związku na niedosycie. Miłość? Zna Erin kilkanaście godzin... Miałby pójść w ślady matki? Miłość od pierwszego



wejrzenia to naiwny ideał, który zainteresowanych nieodmiennie prowadzi do katastrofy.

Mógłby jutro sam odwiedzić ją do rodziców.

Raczej nie.

Zaofiarowała pomoc, która bardzo by mu się przydała. To wyjątkowo rozsądny powód, żeby przystać na taką propozycję. Byłoby z sensem, gdyby Erin została. Tak, właśnie tak.

Spała bardzo źle. Nad ranem usłyszała, jak Dominic schodzi na dół i wypuszcza Marilyn na dwór, a potem prowadzi z powrotem do szczeniąt. Przez cały czas przemawiał do niej półgłosem. Nie docierało do niej, co mówił, ale na pewno nie o schronisku dla zwierząt.

Jeśli jest poważnie zainteresowana...

Dominic i jego dzieci w potrzebie... Marilyn i jej szczeniaki w potrzebie...

Tak, jest poważnie zainteresowana.

– Może powinnam wyjechać na rok na Antarktydę – mruknęła. – Podszkoliłabym się w temacie odmrożeń i wychłodzenia. Byłabym rozchwytywana tylko dlatego, że mam grubą rolkę plastra.

Ale czy należy lecieć na Antarktydę, gdy tu jest szansa na powtórkę z pocałunków? Może to głupie, ale nie ruszy się stąd, jak długo Dom jej nie wyprosi.

Sobota wielkanocna. Przy śniadaniu Dom był całkiem miły. Nie napomknął o wyjeździe, więc i ona o tym nie wspomniała.

Mimo świąt zgłaszało się mnóstwo pacjentów z drobnymi urazami, jakie zdarzają się w środowiskach wiejskich. Telefon się urywał, więc Erin podjęła się roli sekretarki. I bardzo jej się to podobało.

– Od kilku miesięcy boli panią kolano? Oczywiście, doktor Spencer panią przyjmie, ale nie wcześniej niż we wtorek. W tej chwili jest zajęty.

W rzeczywistości zajmował się szczeniętami, ponieważ Fiona, zaprzyjaźniona weterynarz, znalazła chwilę czasu, by przyjechać i osobiście sprawdzić, czy jej polecenia zostały wykonane. Wraz z Domem dokładnie oglądali każdego pieska.

Gdy zadzwonił telefon, Erin była najbliżej. Dominic nie zaprotestował, a nawet wyczytała wdzięczność w jego spojrzeniu. Gdy wróciła do kuchni, leżał na podłodze przed psim posłaniem. Gdy uśmiechnął się do niej, utwierdziła się w przekonaniu, że powinna zostać.

Jeżeli jeszcze bardziej się w tym umocnie, pomyślała, to nawet siłą mnie stąd nie wyrwą. W porównaniu z tym, co czuła, bladł każdy superklej.

Gdy Fiona odjechała, Dominic zaproponował rodzinną przejażdżkę. No, chyba raczej wspólną, poprawiła go w myślach.

Pojechali na miejsce jej wypadku. W dziennym świetle miejsce to wyglądało przerażająco. Z zapartym tchem wraz z chłopcami patrzyła, jak Dom schodzi nad rzekę, do wraku po jej torbę, komórkę oraz... adidasa.

– Jak się go wyczyści, będzie jak nowy – oznajmił, z uśmiechem wręczając jej umazany błotem but.

Po powrocie przyjął dwóch pacjentów, a ona przez ten czas usiłowała nie myśleć o tym uśmiechu. Odbierała telefony i gotowała. Gotowanie podziało na nią kojąco. Nawet stopa z każdą minutą spędzoną w kuchni bolała ją coraz mniej.

Chłopcy też byli w siódmym niebie. To mi daje komfort psychiczny, pomyślała, obserwując jak Martin i Nathan pałaszują klops, a potem szarlotkę. Dom poprosił o dokładkę szarlotki. I znowu się uśmiechnął.

Przesadziła, dopuściła, by stało się to za szybko, za gwałtownie, tym bardziej że nie wiadomo, dokąd to zmierza. Zdała sobie sprawę, że Dominic jest tak samo skołowany jak ona. On też wyraźnie nie wie, co ma myśleć, bo po lunchu wymknął się do przychodni uzupełnić dokumentację.

On ma zdecydowanie za dużo pracy.

W jej głowie zrodził się pewien pomysł, ale na razie wołała go nie rozwijać. Za wcześnie.

Ten nowy pomysł... Absurdalny.

Martin był podejrzanie spokojny. Zagraли w scrabble'a, ułożyli układankę, a on stawał się coraz bardziej apatyczny. Gdy Nathan pomagał jej przygotować kolację, Martin tylko im się przyglądał. Później z książkami zasiedli przed kominkiem w salonie.

W końcu dołączył do nich Dominic i zaczął chłopcom czytać bajkę, która bardzo się spodobała Nathanowi, Martin słuchał jej obojętnie.

Erin przeglądała jakieś pismo medyczne. Trochę czytała, trochę na nich popatrywała. Martin sprawiał wrażenie bardzo zmęczonego. Dlaczego? Zauważyła, że i Dom to dostrzegł. O ósmej wziął na ręce ledwie przytomnego Martina, podał dłoń Nathanowi, życzył jej dobrej nocy, po czym ruszył na górę.

– Jeszcze zejdziesz na dół? – zapytała.

– Nie. Mam sporo do przeczytania.

– Tutaj też możesz czytać.

– Tutaj nie będę mógł się skupić – odparł. – Nie mogę sobie na to pozwolić.

Uff.

– Bardzo nam dziś pomogłaś. – Mówił tonem tak łagodnym, że miała ochotę go kopnąć. – Prawda, chłopaki?

– Tak – odparł bez wahania Nathan, ale Martin milczał, wtuliwszy twarz w Dominica.

– Nie uważasz, że Erin świetnie gotuje? – Dominic prowokował Martina. Chłopiec żałośnie pociągnął nosem.

– Ona jest jak moja mama – wyszeptał.

O kurczę. Niezależnie od tego, co dzieje się w jego rodzinie, jedno jest pewne: on usycha z tęsknoty za mamą.

– Wiem, chłopie, wiem. – Dom pogładził go po głowie, po czym wymownie spojrzął na Erin, dając jej do zrozumienia, że ona nic na to nie poradzi.

Ze smutkiem odprowadzała ich wzrokiem. Bardzo chciałyby malcowi pomóc.

Rozścieliła kanapę, wróciła do kuchni, żeby życzyć Marilyn dobrej nocy, a następnie położyła się i próbowała zasnąć. Za wcześnie, za dużo działało się w jej głowie. Jak zbliżyć się do tej rodziny? Jaka jest rola Tansy? Jak bardzo Dom jej potrzebuje? Jakim cudem jeden facet godzi pracę jedyne go lekarza w okolicy z wychowywaniem dwojga dzieci?

Usiadła, przeczytała sześć książeczek dla dzieci, a potem znowu się położyła i zapatrzyła w ogień w kominku. Dom, Dom, Dom.

Zwariuje. Z cichym jękiem wsunęła głowę pod poduszkę. W końcu zasnęła, ale przez cały czas śnił jej się Dominic.

Obudził ją duszący śwąd.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Chyba dymi kominek, pomyślała w pierwszej chwili. Lecz żar w palenisku ledwie się tlił. Mimo to dym drapał ją w gardle, a co więcej, usłyszała szczekanie Marilyn.

Zaniepokojona wyskoczyła z łóżka. Gdy dopadła do drzwi, zawył alarm pożarowy. W holu stanęła przed ścianą gęstego dymu, który spływał z piętra. Na wysokości jej głowy było go tyle, że praktycznie nic nie widziała.

– Dom! – wrzasnęła. Nie bacząc na ból w stopie, rzuciła się na górę. Myślała tylko o nim i o chłopcach uwieczonych na piętrze.

– Dom! – Cienki, przerażony głosik. To jeden z chłopców.

Erin dotarła na podest tylko dlatego, że trzymała się poręczy. W pewnej chwili kłęby dymu się rozsunęły i ukazał się Dominic. Bez słowa cisnął jej w ramiona Nathana. Nim zdążyła chłopca mocno przytulić, Dom zniknął jej z oczu.

– Dzwon po straż! – usłyszała jego polecenie. – Wynieś Nathana na dwór. I psa. Idę po Martina!

Po omacku, z Nathanem na rękach, zeszła na parter. Macając ścianę jedną ręką, starała się dotrzeć do telefonu. Mniej więcej wiedziała, gdzie stoi, ale dym był tak gęsty, że bała się, że nigdy go nie znajdzie.

– Pożar! – rzuciła do słuchawki, nie czekając na pytanie dyspozytora, i podała adres. – Powtórz.

W kuchni piszcząca przestraszona Marilyn, więc Erin kopniakiem otworzyła kuchenne drzwi. Marilyn trąciła nosem jej nogę, po czym zawróciła do szczeniąt.

– Nathe, musimy wydostać się stąd w bezpieczne miejsce – zwróciła się do chłopca, zastanawiając się nad kolejnym krokiem. Tam, na górze, są

Dominic i Martin, ale czując kurczowy uścisk na szyi, uznała, że chłopiec jej nie puści. – Wyniosę cię na werandę.

– Nie – chlipnął Nathan, ale nie było czasu na sentymenty. Wyniesie Nathana i wróci do Doma. Ale chłopiec pójdzie za nią. Poza tym Marilyn...

Okej, niech Dom sam szuka Martina, dopóki ona nie ukozi Nathana oraz Marilyn. Postawiła Nathana na podłodze i pochyliła się nad szczeniakami.

– Nathe, trzymaj się mojej koszuli i nie puszczaj. Nie odchodź ode mnie. Muszę przenieść szczeniaki.

Odepchnęła Marilyn i nim ta zdążyła zareagować, przygarnęła do siebie szczeniaki razem z legowiskiem. Wyprostowała się. W ramionach trzymała koc ze szczeniakami, a jej koszuli czepiało się wystraszone dziecko. Do tego ten dym. Starła się tak oddychać, żeby się nie dusić, miała ochotę osłonić usta i nos koszulą, ale brakowało jej rąk.

– Idziemy – mruknęła. Błyskawicznie wyprowadziła ich na werandę i dalej na trawę, ale zatrzymała się dopiero daleko od drzwi wejściowych, przy furtce.

– Dom, Dom, Dom – powtarzała w kółko, odwracając się w stronę budynku w nadziei, że idzie za nimi.

Na szczęście nigdzie nie było widać płomieni.

– Musisz tu zostać – odezwała się do chłopca, który z płaczem natychmiast się jej uczeplił, ale odsunęła go zdecydowanym gestem. Zbierała się w sobie, by w jej głosie nie było strachu. Położyła koc ze szczeniakami na trawie, żeby Marilyn mogła psim zwyczajem jęzorem policzyć swoją trzódkę.

– Muszę pomóc Domowi – rzuciła opanowanym tonem, jak gdyby nic się nie stało. – Ale Marilyn musi tu zostać. Trzymaj ją za obrozę i nie puszczaj, dopóki do was nie wrócę. Jasne? – Wsunęła rączkę Nathana pod obrozę. –

Obiecujesz, że jej nie puścisz? Ona może dojść do wniosku, że w domu został jakiś szczeniak i pobiegnie za mną, a tam jest dużo dymu.

– Wrócisz?

– Oczywiście. – Uścisnęła go za ramię. – Z Domem i Martinem. A ty masz pilnować Marilyn i szczeniaków. Mogę ci zaufać?

– T... tak.

– Nathe, jesteś wielki.

– Erin... ?

– Słucham.

– Uratujesz moje wielkanocne jajo?

Dym zgęstniał do tego stopnia, że zrobiwszy jeden krok w holu, musiała się wycofać. Bez planu nie ujdzie nawet trzech metrów.

Najpierw plan. Czekać, aż przyjedzie straż pożarna i się tym zajmie. Wykluczone.

Oparła się o ścianę domu i wzięła trzy głębokie wdechy.

– Dom?! – krzyknęła z całych sił. – Dom!

Cisza. Jak on ma krzyczeć w takim dymie? Zastanów się. Rozkład pokoi. Na piętrze była przez chwilę, gdy Dominic przekazał jej Nathana. Jest zmuszona iść na ślepo.

Wyszła przed dom, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Okna ciemne oraz dym. Nic więcej.

Przy samych drzwiach wejściowych jest łazienka. Zabrać stamtąd mokre ręczniki.

Nie. Wełna lepsza. Do salonu po koce.

Jak błyskawica rzuciła się do salonu, zgarnęła koce, zawróciła do łazienki, rzuciła koce pod prysznic, po czym wytoczyła się na dwór po nowy zapas świeżego powietrza.

– Nathan, nie ruszaj się z miejsca – mruknęła pod nosem, ale nie miała czasu sprawdzić, czy chłopiec tkwi na posterunku. Wróciła do łazienki.

Zarzuciwszy sobie ociekające wodą koce na głowę, macając poręcz, wdrapywała się na schody. Na szczęście po mokrymi kocami mogła oddychać, a nawet wołać:

– Dom! Dominic!

– Erin... – Dom zaniósł się kaszlem. Sunęła do góry tylko dzięki poręczy.

– Dom...

Natknęła się na niego na szczycie schodów. Stał skulony podobnie jak ona. O mało nie upadła, zderzywszy się z nim. Wymachiwała ręką, szukając z nim kontaktu, aż trafiła na jego dłoń. Wyczuł wilgoć.

– Godna pochwały zapobiegliwość, doktor Carmody – usłyszała jego przerywany kaszlem głos.

– Dwa koce. – Ściągnęła z ramion jeden pled, a on natychmiast go na siebie zarzucił.

– Nie mogę go znaleźć... Został mi tylko pokój Tansy... Zaczekaj tu.

– Idę z tobą.

– Nie wygłupiaj się. Zostań tutaj, bo może mi być potrzebna pomoc, jak wyniosę... – Już go nie było.

Sam zniknął, a jej kazał czekać!

Siedziała skulona przy schodach, nie znając rozkładu pokoi, świadoma, że jeśli się ruszy, Dominic może być zmuszony szukać również jej. Przerazona nasłuchiwała trzasku zbliżających się płomieni.

Nagle Dominic znalazł się przy niej. Uniósł jej mokry koc, by wcisnąć jej bezwładne ciało. Martin.

– N... nie mogę... Muszę... odpocząć. Idź. Wynieś go stąd... – Wysunął się spod jej koca, po czym zaniósł się kaszlem.



Był w jądrze pożaru, pomyślała. Jeśli ona oddycha z takim trudem, to fakt, że Dominic przydźwigał do niej Martina, graniczy z cudem.

– Idź już – ponaglał ją Dom.

– Ale ty chodź za mną. – Ani drgnął, więc kopnęła go tak mocno w nogę, że aż syknął. – Nie ruszę się stąd, jeśli tu zostaniesz. Nie poddawaj się. Jazda.

Na więcej nie miała siły. Zsuwała się na siedzeniu ze schodów, nie wiedząc, co dzieje się przed nią ani za nią. Wiedziała jedno: musi wydostać się na zewnątrz, zanim straci przytomność. Ile jeszcze tych stopni? Gdy zatrzymała się na moment, coś ją uderzyło w plecy. Dominic.

– Daj go – wykrztusił. – Już odpocząłem.

– Akurat. – Skupiła się na pokonaniu następnego stopnia.

Świadomość jego obecności pomogła jej pokonać trzy ostatnie stopnie. Jakimś cudem w końcu znalazła się na werandzie, ale się nie zatrzymała. Jeszcze nie wolno jej ściągnąć z głowy mokrego koca. Na ślepo posuwając się wzdłuż ściany, dotarła do końca werandy, gdzie ześliznęła się na trawę, nareszcie z daleka od dymu...

Martin nadal się nie ruszał. Łkając ze strachu i rozpacz, ułożyła go na trawie, by ocenić, co się stało.

Znalazła tętno. W jednej chwili było, w drugiej... się urwało. Mimo że przerażenie ścisnęło jej gardło, przestawiła się na tryb oddziału ratunkowego.

– Musisz żyć – przemawiała do chłopca. – Nie po to Dom cię ratował... – Przystąpiła do sztucznego oddychania.

Jeden wydech, piętnaście ucisków klatki piersiowej. Energicznych, zdecydowanych. Oddychaj, cholera, oddychaj.

– Daj, ja to zrobię. – Dominic odsuwał ją, żeby uklęknąć przy Martinie. – Ty za niego oddychaj.

Zjawił się niczym dar od Boga. Dom jest przy niej. Jedno życie uratowane. Trzeba jeszcze zawalczyć o drugie. We dwoje mają większą szansę.

– Uciskaj, jakbyś chciał połamać mu żebra. – Taką radę dawała swoim studentom przy pierwszym spotkaniu.

Ale on już to robił. Wydech, raz, dwa, trzy... Nagle jej uszu dobiegło żalosne zawodzenie.

– Nathe! – zawołała między wydechami – wyjrzyj na drogę, czy straż już jedzie. I zaraz wróć do Marilyn, żeby się nie bała. Jesteśmy cali i zdrowi.

Wydech, raz, dwa, trzy...

Skąd Dominic bierze siły? Mało sam nie umarł. Skoro tam, na podeście oddał jej Martina... to bez wątpienia gonił resztkami sił.

W tak dramatycznych sytuacjach ludzie dokonują cudów. Słyszała o matkach, które dźwigały auta, żeby wydostać spod nich swoje dzieci. Życie albo śmierć... to wyzwala w człowieku nadludzką siłę.

Teraz trzeba im cudu. Nie wolno tracić nadziei. Podtrzymując brodę chłopca, zrobiła kolejny wydech. Nagle Martin drgnął. Kaszlnął, otworzył oczy.

– Martin... – rzekł Dominic zmienionym głosem.

– Dom... – wykrztusił chłopiec, po czym zwymiotował.

Dominic podtrzymywał go, żeby się nie udławił, pocieszał go, przytulał.

– Nathe! – zawołała w mrok. Drugi malec znalazł się przy niej błyskawicznie. – Chodź. – Porwała go w ramiona. Ścisnęła go tak mocno, że o mało mu żebra nie popękały. I wtedy Dominic pociągnął ją do siebie, więc się przysunęła razem z Nathanem.

Pomyślała wówczas, że dawno nie była tak szczęśliwa. A gdy z mroku wynurzyła się Marilyn i, by zaznaczyć swoją obecność, polizała ją po twarzy, przytuliła i ją.

– Hej – zachrypiał Dominic głosem nabrzmiałym wzruszeniem – jesteśmy cali i zdrowi. Dzięki naszej wspaniałej Erin.

– Dzięki nam wszystkim – szepnęła.

Nie wypadało jej pocałować Doma, więc siedziała bezgranicznie szczęśliwa w kręgu ośmiu ramion i psiego jęzora, aż w oddali odezwały się syreny.

RRS

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wóz strażacki od razu oświetlił płonący dom reflektorami. Wskoczyło z niego co najmniej piętnastoro strażaków w najrozmaitszych strojach nocnych. Ubierali się w biegu. To ochotnicy, których wyrwano z łóżek.

– Jesteśmy tutaj! – zawołała Erin, ale z jej gardła wydobyło się ledwie słyszalne chrypienie. Strażacy już dopadali do furtki, a tam leżały szczenięta Marilyn!

– Leć ich zatrzymać – powiedział Dom, a ona spojrzała na niego z rozpaczą. Zawiódł ją głos, więc pewnie zawiodą ją stopy.

– Chłopcy są ze mną – uspokoił ją. – Ratuj szczeniaki. Skąd on wie, gdzie one są? Ale Marilyn wyrwała się

z jej objęć i już mknęła w stronę furtki. To dzięki temu Dominic się domyślił, dokąd je wyniosła.

– Biegnij. – Poglądził ją po policzku pozornie nic nieznaczącym gestem, ale dla niej znaczył wszystko. Dodał jej siłę, więc wstała i ruszyła za Marilyn.

– Patrzcie pod nogi! – Tym razem udało jej się krzyknąć. Pierwszy strażak znieruchomiał. Nim oprzytomniał, Erin zdążyła zgarnąć kocyk i szczeniaki. Biedna Marilyn, nie trafiła do idealnego szpitala położniczego, pomyślała ponuro.

Strażak chwycił ją za ramiona i z powagą spojrzał jej w twarz.

– W środku ktoś jest? – zapytał.

– Nie, wyszliśmy wszyscy. – Chciała odejść, ale ją zatrzymał. Prawdę mówiąc, gdyby zwolnił uścisk, pewnie by upadła. – Siedzimy pod werandą.

– Doktor?

– Doktor i dwaj chłopcy. Od strony ogrodu. Pali się na piętrze.

– Zaprowadźcie ją do wozu – polecił, po czym z mroku wynurzyła się postać, która odprowadziła ją na bok.

– Muszę wracać do Dominica.

– Przyprowadzimy go do pani.

I tak też się stało. Zaprowadzono ją za wóz strażacki, gdzie usiadła na ziemi, tuląc szczenięta, z Marilyn przyklejoną do nóg.

Dominic przyniósł Martina, strażak Nathana. Martin był przytomny i przerażony, za to Nathan już zapomniał o strachu, bo nieoczekiwanie spełniły się jego marzenia o strażakach, wozach strażackich i pożarach.

– Wezwaliśmy karetkę – poinformował Dominica strażak, ale Dom pokręcił głową, siadając obok Erin. Nie wypuszczał chłopca z objęć.

– Nie trzeba – odparł. – Martin ma się dobrze. Zemdlął z powodu czadu, ale teraz już nic mu nie jest. Gdybyście przynieśli moją torbę z bagażnika, podałbym mu tlen. Nie zapominaj, Graham, że jestem lekarzem. Wiem, co robić.

– Ale... – Erin ugryzła się w język. Martin był o krok od śmierci przez zaczadzenie. Gdyby go przywieziono na jej oddział ratunkowy, trzymałaby go pod tlenem przez całą noc.

Spojrzała na chłopca. Był blady i przestraszony.

I wówczas pojęła, że Dominic rozważył wszystkie za i przeciw. Można Martina zatrzymać w domu, licząc się z powikłaniami, albo wysłać do szpitala, narażając go na jeszcze większą traumę. Jeśli matka wyrządzała mu krzywdę, żeby ściągnąć na siebie uwagę... to ten dzieciak ma na całe życie dosyć szpitali

– Ile masz tu tlenu? – zapytała.

Spojrzał na nią wymownie, dając jej do zrozumienia, że wie, o czym myślała.

– Wystarczy dla drużyny futbolowej na tydzień nurkowania.

– Masz tu aparat rentgenowski?

– Mam.

– W porządku, zgadzam się.

– Super. – Jego rysy nieco złagodniały. Strażak stał nad nimi ze ściągniętymi brwiami.

– Jak jesteś pewny...

– Jestem pewny – odparł. – Ratujcie mój dom.

– Ja też jestem lekarzem – odezwała się. – Zajmę się jednym i drugim.

Strażak z niedowierzaniem omiótł ją wzrokiem. Zapewne nie wyglądała jak lekarz. Miała na sobie różową jedwabną piżamę, była usmolona, a do tego okryta burym kocem. Lekarka?

– Graham, damy sobie radę – zapewnił go Dom. – Erin pomagała mi wczoraj przy Jamiem Sutherlandzie. Pewnie słyszałeś. Okazuje się, że mam współnika.

– Kurde, najwyższy czas. – Mężczyzna uśmiechnął się do Erin. – Witamy w Bombadeen, pani doktor. Bardzo nas to cieszy. – Zasalutował, po czym ruszył do akcji.

Chwilę później ktoś przyniósł torbę Dominica, ale i on zniknął w ciemnościach. Zostali sami.

Ukryci za największym wozem strażackim nie widzieli, co się dzieje. Mężczyźni wołali, padały komendy, błyskały latarki, dom tonął w blasku reflektorów, chyba nawet przyjechał jakiś reporter, ale ich otaczały ciemności.

Gdy tak siedzieli ciasno przytuleni, Erin osłuchwała Martinowi płuca i nałożyła mu maskę tlenową, ale dzięki Bogu, mały był w coraz lepszej formie.

Dominic opierał się o koło wozu, a ona bezwiednie przysunęła się do niego jeszcze bliżej. Trzymała wprawdzie Nathana, ale takie małe ciało jej nie wystarczało. Chciała poczuć, że nie jest sama, że ogień już jej nie zagraża.

Marilyn po raz dziesiąty liczyła nosem swoją dziatwę, nie odrywając zadu od stóp Erin. Najwyraźniej i ona potrzebowała poczucia bezpieczeństwa.

– Macie tu dodatkowe koce. – Czyjeś ręce okryły ich kilkoma suchymi wełnianymi pledami.

Nathan, o dziwo, zdążył się otrząsnąć. Wyplątał się z ich ramion i ciągnąc za sobą koc, przeszedł na przód wozu strażackiego. Strażacy, węże, pompy, strumienie wody...

Znowu był małym chłopcem, którego spotkała wielka przygoda. Jednak dla Erin, Martina i Dominica to jeszcze nie był koniec. Gdy żałośnie pociągnęła nosem, poczuła na ramieniu rękę Doma.

– Już po wszystkim – rzekł półgłosem. – Jesteśmy bezpieczni. Dzięki tobie.

– Ja nic...

– Od dymu chce się człowiekowi wymiotować – rzucił zamyślonym tonem, jednocześnie lekko ściskając jej ramię, aby dać jej do zrozumienia, że już nie przemawia do niej. – To okropne. Wymiotowanie jest okropne, oparzenia są okropne.

Poczuła, jak Martin sztywnieje w objęciach Dominica.

– Coś mi się wydaje, Martin, że to ty rozпалиłeś ognisko.

W rozproszonym świetle reflektorów Erin dostrzegła błysk w oczach chłopca.

– To nie ja...

– Myślę, że ty. – Ku jej zdziwieniu brzmiało to całkiem zwyczajnie. – W skrzyni na pościel w pokoju Tansy.

– To był malutki ogienek – wyszeptał chłopiec. – Chciałem, żeby oparzył mnie tylko trochę. Ale się przestraszyłem i zamknąłem go w szafie.

– Bardzo rozsądnie. – Dominic zachowywał rzeczowy ton. – Bo kto chciałby się poparzyć? Jak byś się poparzył, musiałbyś pojechać do szpitala, a my z Nathanem byśmy za tobą tęsknili.

– Siedzielibyście przy mnie i dawalibyście mi prezenty.

– Możemy dać ci więcej, jak jesteś tutaj. O wiele więcej. W szpitalu jest smutno.

– Moja mama była w szpitalu.

Erin wstrzymała oddech. Biedny Martin. Biedny Dom.

– Myślę, że to Erin przypomniała ci o mamie. – Dominic zniżył głos. – Twoja mama jest bardzo chora. Szkoda, ale gorsze jest to, że czasami robiła ci krzywdę, żeby razem z tobą pojechać do szpitala. Na tym polega jej choroba. Ale teraz jesteś wśród ludzi, którzy nie są chorzy, którzy bardzo się starają nie chorować. Bo tak jest fajniej. Dobrze ci się z nami mieszka?

– Tak. – I jeszcze głośniejsze. – Tak! Nie lubię być chory. I nie chciałem się poparzyć. Bałem się.

– Nikt nie lubi chorować. Jak się choruje, to nie można biegać, pływać, skakać na pogo ani piec bułeczek wielkanocnych. Od teraz masz być zdrowy, żeby móc to wszystko robić.

Dominic gładził chłopca po włosach. Otarł się o śmierć, ale w tej chwili nigdzie się nie spieszył. Pierwszy raz widzę tak delikatnego mężczyznę, pomyślała Erin. Wcześniej wydawało się jej, że to jedynie wyjątkowo troskliwy lekarz.

– Dominic przeszukał cały dom, żeby cię znaleźć. – Instynktownie uznała, że pora na lżejszy ton. – Pełzał po wszystkich pokojach pod wielkim mokrym kocem. Wyglądał jak duży mokry niedźwiedź.



– A Erin jak mały niedźwiedź – podjął Dominic. – Ona też chodziła na czworaka. Mama niedźwiedzica i tata niedźwiedź szukali małego misia, który schował się w szafie.

Nieoczekiwanie Martin się uśmiechnął.

– Nie jestem misiem. Mam za mało futra.

Dom się rozpromienił, a Erin ścisnęło za gardło. Ten facet jest nie z tej ziemi. I...

I naprawdę mogłabym go pokochać. I...

Głupia sprawa, chyba już go Kocham.

Nadal tuląc chłopca i uśmiechając się, Dominic przeniósł spojrzenie na nią. Czowała, że powinna odwrócić wzrok, ale tego nie zrobiła.

Taki duży, taki delikatny, mądry i tak cholernie seksy, że gdyby nie obecność dzieci, wzięłaby go natychmiast.

Chyba jestem w szoku, pomyślała. Rzucić się na niego w takiej sytuacji... Nader niestosowne.

Ale gdyby mogła...

Spoglądał na nią pytająco, więc próbowała się opanować. Bezskutecznie.

– Ja... ja...

– Dobrze się czujesz?

– Nie – wyjąkała. – Jestem w szoku. Trochę zaszokowana. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chyba pójdę sprawdzić, czy dom jeszcze stoi. – Podniosła się, ale chwycił ją za rękę.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Na pewno. Tylko trochę... trochę... Ale... zostawiłam w domu buty. Sprawdzę, czy jeszcze je mam.

– Twoje buty...

– I moje jajo wielkanocne – odezwał się za ich plecami Nathan.

– I moje pogo – szepnął Martin.

– No właśnie – powiedziała. – Sam widzisz, że muszę iść po buty i po jajo, i po skoczka pogo.

– Ale...

– Dominic, muszę...

Tak mocno chwycił ją za rękę, że już dłużej nie mogła unikać jego wzroku. Patrzyli sobie prosto w oczy, a niżej były jego wargi...

Nie wypada, nie wypada, nie wypada.

A dlaczego? Przyciągnął ją do siebie, a ona nie miała siły się oprzeć. Więc go pocałowała.

Musnęła wargami? Taki przyjacielski pocałunek? Jak pożar buszu. Reakcja Dominica była jedynie potwierdzeniem tego, co pojęła chwilę wcześniej.

W tym pocałunku było wszystko, na co czekała całe życie. Dominic, jej bohater, jej mężczyzna. W ciągu dwóch dni jej dotychczasowy świat się zawalił. Albo raczej zawalił się dwadzieścia lat wcześniej wraz ze śmiercią rodzeństwa i dopiero teraz wygrzebała się spod ruin. Przez te wszystkie lata usiłowała być trzema osobami w jednym ciele, ale nie mogła być sobą. Jak chora była ta ambicja, pokazał jej dopiero upadek w przepaść nad rzeką. O mało wtedy nie zginęła, a drugi raz tego wieczoru... Ma tylko jedno życie. Swoje własne.

Ten pocałunek trwał dłużej, niż należało, ale nie potrafiła go przerwać, tym bardziej że i Dom najwyraźniej nie umiał się na to zdobyć.

Z transu wyrwał ich odgłos tłuczonego szkła. Gdyby nie to, całowałiby się dalej. Dla obojga była to noc strachu, a ten pocałunek był im potrzebny, by mogli dać upust emocjom.

Ale było to coś więcej. Zdecydowanie więcej. Zrozumiała to, odsuwając się od Dominica, który wyglądał na skonfundowanego. Chłopcy również.

– Nas też pocałuj – szepnął Nathan, a ona z radością spełniła jego prośbę.

– Oczywiście. Bo jesteśmy wspaniali. – Pocałowała chłopca w czubek nosa, a Martina w czoło. Co więcej, pocałowała Marilyn w pokraczny spłaszczony nos. –Wszyscy jesteśmy fantastyczni, ale teraz naprawdę muszę iść po pogo i po jaja wielkanocne.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Okazało się, że ogień ograniczył się do jednego pokoju.

– Tam jest duże zadymienie – ostrzegli ją strażacy. – Pożar zaczął się w szafie. Zapaliły się akrylowe koce. Na szczęście łóżko jest żelazne, a pościel na łóżku oraz dywan z wełny, więc najgroźniejsze były opary akrylu...

– Czyli nic poważnego...

– Sytuacja była bardzo poważna – odparł strażak kierujący akcją. – Płomienie zajęły zasłony i sięgnęły sufitu, a tam jest izolacja, która się stopiła. Cały dom jest pełny toksycznych wyziewów. Moi ludzie pracują tam w maskach. Łaska Boska, że wynaleziono alarmy pożarowe. Jak doszło do zaproszenia ognia, wie pani?

Nie warto kłamać. Nikt nie będzie ciągał sześciolatka po sądach. Pomimo koca było jej zimno i wcale nie miała ochoty odpowiadać na pytania, ale jeśli nie udzieli temu człowiekowi wyjaśnienia, ten pójdzie do Dominica, a Dominic jest potrzebny komu innemu.

– Cholerne bachory – mruknął strażak, gdy wyjaśniła, co się stało. – One go wykończą.

– Zna ich pan?

– Ich poprzedników. Nasz doktor bierze dzieciaki, których nie chce nikt inny. On i Tansy... – Zawahał się. – Ona jest teraz u siostry, ale jak wróci, to obedrze doktora ze skóry. Wzorowa z niej matka. Ona i doktor to wyjątkowa para.

Niedobrze. Przejmuje się nieznajomą Tansy, a tu śmiertelne zagrożenie...

Wszędzie uwijali się strażacy. Większość skupiła się na pokoju na piętrze, ale pozostali rozwijali coś, co wyglądało jak długa rura od wielkiego odkurzacza.

– Co to jest?

– Wąż ssący. Usuniemy wszystko, co się spaliło. Ponadto sprawdzimy dach, dogasimy żar, a potem wyssiemy dym.

– Teraz?

– Zaraz. Dym jest najgroźniejszy. A jak znam doktora, będzie chciał tu zostać. Zawsze tak było. On nie lubi przerzucać tych dzieciaków z miejsca na miejsce.

– To nie pierwszy raz?

– Kiedyś jeden z tych jego chłopaków rzucił się na niego z nożem. – Strażak obserwował, jak wąż znika w domu. – Doktorowi trzeba było założyć piętnaście szwów, ale nie zgodził się jechać do szpitala. Dzieciak miał dopiero osiem lat. Policja nas wezwała, bo smarkacz zamknął się w pokoju i groził, że się podpali, ale zanim przyjechaliśmy, doktor go stamtąd wywabił. Widzieliśmy, jak go przytulał. Był cały zakrwawiony. Da pani wiarę? Jakiś czas później chłopak wrócił do matki i z tego, co wiem, nie ma z nim teraz większych problemów. Nadal razem odwiedzają doktora. Inne dzieciaki też go odwiedzają.

– Ile ich jest?

– Bóg raczy wiedzieć. – Strażak wzruszył ramionami. – Wiem tylko tyle, że dla mnie doktor i Tansy są bohaterami. Bardzo bym chciał, żeby w Bombadeen był jeszcze jeden medyk, bo wtedy doktor miałby trochę więcej wolnego. Przepraszam, muszę wracać do roboty.

„Bardzo bym chciał, żeby w Bombadeen był jeszcze jeden medyk, bo wtedy doktor miałby trochę więcej wolnego... ". Taki pomysł załagał się w jej głowie już wcześniej, a słowa strażaka sprawiły, że teraz gwałtownie zaczął kiełkować.

Bez trudu znalazła swoje buty, jajo Nathana i pogo Martina. Dwie godziny później w domu nadal śmierdziało dymem, ale nie stanowiło to już zagrożenia. Pokój, w którym Martin rozpałił ognisko, nadawał się do remontu, jednak gdy zamknięto i szczelnie oklejono drzwi, swąd nie wydostawał się na zewnątrz.

Od początku akcji Dominic podziękował co najmniej dwudziestu osobom za tymczasowe użyczenie schronienia.

– Jak już nie będzie dymu, wrócimy do domu – wyjaśniał im cierpliwie. – Tutaj chłopcom będzie najlepiej.

On jest ledwie żywy, pomyślała, zauważywszy, że ani na chwilę nie wypuścił z ramion Martina, a teraz jeszcze trzymał Nathana za rękę.

– Tu jesteśmy u siebie – tłumaczył. – Dym sprawia, że wygląda to znacznie gorzej, ale nam nic nie jest.

W końcu chaos ustąpił miejsca porządkowi. Gapie się rozchodzili, a dwa wozy strażackie odjechały. Jeden został.

– Dom, wiem, że masz nas dosyć – powiedział dowodzący akcją – ale ogień naruszył fragment dachu i nie ma gwarancji, że całkowicie go ugasiliśmy. Przez całą noc na piętrze będzie dwóch ludzi, a na zewnątrz reszta. Możecie tam wracać, ale liczcie się z naszą obecnością, chcecie czy nie chcecie.

Dominic się nie sprzeciwiał.

– Graham, mnie to nie przeszkadza. – Zerknął na Erin. – A tobie? Mam przyjąć jakieś zaproszenie z myślą o tobie?

– Nie.

– Nie?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu. Mogłabym pomóc... przy Marilyn.

– Jasne, mamy jeszcze Marilyn. – Uśmiechnął się.

– Mało która suka tyle doświadczyła w historii psiego rodu. Ułożę ją pod piecem.

– Pod warunkiem, że na samą myśl o ogniu nie zrobi się nam wszystkim niedobrze.

– Ogień jest w porządku – stwierdziła bez wahania, czując na sobie wystraszone spojrzenie Martina. – Ogień jest piękny, a tamto to aberracja.

– Co to jest aberracja? – zainteresował się Nathan. Powinien już być w łóżku, ale dla Dominica i dla Erin było oczywiste, że nie w obcym domu.

– Aberracja to pomyłka – wyjaśniła. – Przez pomyłkę wybuchł pożar i dlatego było nam niedobrze, ale ogień w kuchni i na kominku jest dobry. I teraz dobrze nam robi. Mnie na pewno, bo mi zimno w stopy.

Trafiła w samo sedno, bo wszyscy byli w piżamach. I mimo gumiaków Dominica palce stóp miała lodowate. Pozostali też wyglądali na zziębniętych.

– Super. – Dominic rzucił jej pełne uznania spojrzenie. – Tak, to nam dobrze robi. Zwyczajny ogień, żeby zrobiło się nam ciepło w stopy.

Na dole po odessaniu dymu było całkiem znośnie, tym bardziej że przez otwarte okna płynęło czyste powietrze.

– Śpimy na dole – zdecydował Dominic i nim się zorientowali, strażacy znieśli z piętra materace i ułożyli je przed kominkiem.

Salon nagle się skurczył, bo oprócz kanapy Erin znalazły się tam trzy materace. I legowisko Marilyn.

– Nie zostawimy jej samej w kuchni. Jak wszyscy, to wszyscy.

– Nie mam nic przeciwko temu.

Żar na kominku dogasał, więc Dom dołożył drewna.

– Ogień jest fajny – rzucił od niechcienia, dostrzegając strach w oczach Martina. – Ogień jest po to, żeby ludziom było ciepło. Wiesz co, Martin? –

zwrócił się do chłopca. –Najadłeś się strachu, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Jutro nauczę cię, jak bezpiecznie rozpaść ognisko.

Tego Martin na pewno się nie spodziewał. Nawet się sennie uśmiechnął.

Dominic tak ułożył materace, że to on miał spać najbliżej kominka, potem Martin i Nathan, a na końcu ustawił kanapę Erin: dwoje dorosłych z brzegu, dzieci między nimi, a Marilyn w nogach.

Chłopcy zasnęli błyskawicznie. Erin też powinna zasnąć, ale w blasku kominka widziała Dominica. Leżał oparty na łokciu, w zadumie spoglądając na swoich podopiecznych.

– Nie żałuję tego pocałunku – rzuciła nagle w mrok, a on zeszywniał.

– Dlaczego nie śpisz?

– Patrzę na ciebie.

– To nie patrz.

– Tobą też ktoś powinien się opiekować – powiedziała cicho. – Zajmujesz się wszystkimi, ale o tobie nikt nie myśli. To się zmieni. Ani trochę nie żałuję tego pocałunku. To był wymarzony pocałunek. Śpij spokojnie. Zасы-  
pij ze świadomością, że tej nocy nie dyżurujesz, że od tej chwili obowiązek  
czuwania należy do mnie.

– Uhm.

– Uwierz mi.

– Drżysz.

– Nie.

– Słysząc to w twoim głosie.

Może rzeczywiście drży, odreagowuje wydarzenia nocy.

– Nic mi nie jest.

– Pomoże ci, jak cię przytulę?

– Chyba tak – odparła ostrożnie.



– To dlaczego nic nie mówisz? – Wstał, przeszedł nad chłopcami, po czym pochylił się, by pogłodzić ją po twarzy. Było tam za mało miejsca, żeby ukląkł, więc energicznym ruchem uniósł jej koc i ułożył się obok niej. Teraz zaczęła drżeć naprawdę, ale... inaczej. – Muszę cię przytulić – szepnął.

– Tak... wiem. Ja też tego potrzebuję.

– Byłaś niezastąpiona.

– Ty też. – Powoli się rozluźniała. Dominic leżał za nią, w spodniach od piżamy, ale bez góry, tak że czuła go przez swoją jedwabną piżamę. Której dziewczynie nie podziałałoby to na wyobraźnię?

– Nie zamierzam cię uwieść – wyjaśnił bez związku z czymkolwiek.

– Nie?

– Nie. – Wyczuła, że się uśmiechnął.

– Cholera!

Parsknął, mocniej ją przytulając.

– Gdybym mógł, to bym się nie ociagał... Jak, mając taką gromadkę, robili to Mamuśka i Tatko Brady z „Grunt to rodzinka...”?

– Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek się zbliżali do siebie – szepnęła. – Zawsze była tylko Jego Banda i Jej Banda.

– Dzieci... – mruknął. – To drugi najlepszy środek antykoncepcyjny po ścianie z cegieł.

Było jej tak rozkosznie, że zaczynało się jej mieszać w głowie.

– Więc mi wytłumacz, co robisz w moim łóżku.

– Staram się, żebyś przestała drżeć.

– Chyba już przestałam.

– To ja o tym zadecyduję. Poza tym chciałem ci podziękować za uratowanie nam życia.

– Sami się uratowaliście.

– Bez twojej pomocy nie zniósłbym Martina na dół. – W dalszym ciągu miał struny głosowe podrażnione dymem. Piekielnie seksy. – Przy nich nie mogłem tego powiedzieć, ale mało brakowało, a byśmy go stracili –szepnął jej do ucha. – Dziękuję.

– Nie ma sprawy. – Doszła do wniosku, że dla Dominica wydarzenia sprzed paru godzin musiały być bardziej przerażające niż dla niej.

Czy dlatego, że jest facetem, nie ma prawa szukać pociechy? Instynktownie odwróciła się do niego.

– Dom, już po wszystkim. – Z całych sił starała się skupić na słowach Dominica, a nie na jego ciele. – Wyszliśmy z tego cało. Jestem przekonana, że Martin nie powtórzy takiego numeru.

– To nie jest takie pewne.

– Ale ty będziesz blisko i go uratujesz – powiedziała z przekonaniem. Po chwili wahania dodała to, co podpowiadało jej serce. – Dom, chcę ci pomagać.

– Już pomogłaś.

– Nie, nie. Na dłuższą metę. – Odkasznęła. – Przydam ci się. Jeżeli mi pozwolisz.

– Jako lekarz?

– Oczywiście. – Ta opcja też wchodzi w rachubę, ale od niej można zacząć. – Mniej miałbyś na swoich barkach. Tutaj, w Bombadeen, jest bardzo dużo roboty.

– Tutaj? Oszalałaś? – Leżeli spleceni jak kochankowie. Tak powinno być, przeszło jej przez głowę. Cudowne uczucie. – Przecież masz zacząć pracę w nowym miejscu.

Nowa praca. Tak, to prawda. Na stanowisku szefa oddziału ratunkowego. W zupełnie innym świecie. Lecz ona wybrała ten świat tutaj i nie zamierza go opuścić.

– Doznałam kolejnego olśnienia – odparła. – Prawdę mówiąc, doświadczyłam całego tygodnia olśnień. To, co ty tu robisz... Nie pojmuję, jak sobie z tym radzisz i nie wyobrażam sobie większego zaszczytu, niż dostać szansę pomagania tobie.

– Tansy mi pomaga.

To było jak policzek. Zamknęła oczy. Ale w dalszym ciągu go obejmowała. Nie miała siły cofnąć ramion.

– Erin... – Odsunął się od niej, a ona miała ochotę się rozplakać. Okej, przesadnie reaguje, ale ma za sobą trudną noc, a on... – Erin.

Uniosła powieki.

– Przepraszam, nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak brutalnie. Tansy pomaga mi przy chłopcach, ale z medycznego punktu widzenia... tak, ledwie się wyrabiam. Ale ty i ja... Nie.

– Nie?

– Nie.

– Dlaczego?

Ujęła jego twarz w dłonie ze świadomością, że jest to najważniejsza chwila w jej życiu. Czy on też to wie?

– Bo... – Pocałował ją.

Ten pocałunek był zupełnie inny. Tamten zrodził się ze strachu, wyczerpania, uczucia ulgi, ale te emocje już należały do przeszłości. Teraz nic im nie zagrażało, więc ten pocałunek był... nieuchronny.

Żal wywołany jego słowami znikł bez śladu. Jej dusza śpiewała, a ona uskrzydłona odwzajemniała mu się każdą komórką swojego ciała. Jej Dominic.

Co on wyprawia?!

Całuje kobietę jak nigdy przedtem, Potrzebuje kobiety.. A ta jest taka delikatna i uległa, ale zepsuta.

Zepsuta. To słowo dźwięczało w tej niewielkiej części jego mózgu, która jeszcze funkcjonowała normalnie. Bo to nie był czas myślenia, a czas wszystkich pięciu zmysłów, które skoncentrowały się na kobiecie.

Zepsuta. Tak się przy nim zachowuje. Zdawał sobie sprawę, że ten przymiotnik do niej nie pasuje, bo Erin jest dobrym dzieckiem, lojalną, mądrą córką, spolegliwym i wiernym przyjacielem. Zrobiła w życiu wszystko, co powinna, ale akurat w tej chwili dogadza samej sobie.

Pożąda go tak rozpaczliwie jak on jej. Przyłgnęła do niego całym ciałem, jej piersi... wargi... język...

Smakowała solą i pożądaniem, wszystkim, o czym śnił po nocach, a on wiedział, że może zrobić z nią, co zechce. Musi się pohamować.

Ale nie był w stanie od niej się oderwać.

Erin. Jej włosy pachną dymem. Erin...

Nagle poderwał go złowieszczy syk w palenisku. Nie. Co on robi?!

On należy do niej. I o cokolwiek ją teraz poprosi, ona to zrobi. To niemożliwe, by pokochała go jeszcze bardziej. Oto jej mężczyzna, ona jest jego kobietą.

On też delectował się tym pocałunkiem, też obejmował ją coraz mocniej. Kocha ją tak jak ona jego? Ale... Chyba nie. Nie!

Bo gdy polano w kominku rozpadło się z sykiem, odsunął się i teraz trzyma ją na odległość ramienia, spoglądając na nią jak na największy skarb. Jak na coś tak nieosiągalnego jak marzenie senne.

– O co chodzi? – wyszeptała. – Och, Dom...

– Chciałem powiedzieć... pokazać, dlaczego nie mogę przystać na twoją propozycję. – Głos mu drżał. – Pierwszy raz ktoś mi złożył tak wspaniałomyślną ofertę. Chcesz dla mnie zrezygnować z pracy w mieście. Ale to, co jest między nami... Nie chciałem do tego dopuścić...

– I?

– Nie chcę tego.

– Odnoszę wrażenie – mówiła z ciężkim sercem – że chcesz. Tak samo jak ja.

– Nie chcę.

– Dlaczego?

– Znamy się dwie doby. To nie ma sensu.

– Nie ma nic bardziej sensownego pod słońcem.

– Jesteś mądra i piękna i nie wolno mi cię wykorzystać.

– Chyba jesteś protekcyjny.

– Nieważne. Ale to prawda. – Pocałował ją, ale tym razem panował nad sobą. Dramatyczne wydarzenia tej nocy ujawniły jego potrzeby, ale już się pozbiał.

Gdy zszedł z kanapy, omal się nie rozplakała.

– Chcę ci pomóc. – Jeśli zabrzmiało to jak błaganie, to nic na to nie mogła poradzić.

– Nie mogę tego przyjąć.

– Możesz być do tego zmuszony – szepnęła. – Dla jednego lekarza ten rejon jest za duży. Robisz, co musisz. Może i ja też robię, co muszę. Pokręcił głową.

– Oboje zachowujemy się absurdalnie. – Pochylił się, by musnąć jej wargi. Jakby na pożegnanie. – Wystarczy. To jest sen, nie jawa. Dobranoc, Erin. Śpij dobrze. Do rana oprzytomniejemy.

– Ja nie oprzytomnieję – wymamrotała wojowniczo, gdy układał się na swoim materacu. – Bo teraz jestem przytomna. Wydaje mi się, że całe moje życie poruszałam się jak we śnie i że dopiero teraz się obudziłam. Czuję, że muszę znaleźć swoje miejsce.

Musi go przekonać... że miłość ma sens? Że to, co ona czuje, przetrwa wieki.

Źle spała, więc gdy o szóstej rano zadzwonił telefon, odskoczyła do niego już po pierwszym sygnale.

W domu nadal obecni byli strażacy. Jeden z nich, Graham, wybiegł na podest na piętrze, ale Erin już trzymała w ręce słuchawkę. Zamknęła drzwi do salonu, żeby nie obudzić Dominica i chłopców.

– Pan doktor? – usłyszała przestraszony głos.

– Ja też jestem lekarzem – powiedziała. – Jak mogę panu pomóc?

– Ale nasz dok...

– W nocy palił się dom doktora – wyjaśniła. – I doktor zajmuje się teraz chłopcami. A ja jestem na dyżurze. Myślę, że i ja mogę panu pomóc.

Długie milczenie, a potem tłumione łkanie.

– Właśnie się obudziłem. – Chwila wahania. – Myślę, że moja żona nie żyje.

W ułamku sekundy podjęła decyzję, że to ona pojedzie do tego mężczyzny. Teoretycznie powinna obudzić Dominica, bo chodzi o jego pacjentkę. Ale gdy zajrzała do salonu i zobaczyła, jak przez sen przytula Martina, zapiekły ją łzy wzruszenia.

Nawet poczuła się... zazdrosna. Głupie to, ale prawdziwe. Ci trzej faceci są rodziną i ona chce do nich dołączyć. Niech sobie śpią.

Półgłosem zadała kilka istotnych pytań. Żona mężczyzny od dawna cierpiała na nieuleczalnego raka z przerzutami i Dom często do niej przyjeżdżał. Tak, Dom ostrzegął, że umrze, ale nie tak prędko...

– Czy ktoś może mnie zawieźć do Mathesonów? – zwróciła się do Grahama.

– Jasne. Enid nie żyje? Tak przeczuwaliśmy. Miasteczko było na to przygotowane. Byłoby lepiej, gdyby to Dominic pojechał do zrozpaczonego staruszka, ale chłopcy potrzebują go bardziej.

Dwie minuty później w dżinsach, grubym swetrze i gumiakach Dominica wsiadła do samochodu Grahama.

– Dzięki Bogu, że pani tu jest – rzekł strażak, wstawiając torbę lekarską Dominica do skrzyni półciężarówki. – On się tu zaharowuje. Nie zostałyby pani w Bombadeen?

– To nie jest takie niemożliwe – odparła, a on z wrażenia aż się potknął.

– Niech pani nie żartuje.

– Może i nie żartuję. – Ten pomysł nabierał konkretnych barw.

Dominic twierdził, że to niemożliwe. Zgoda, mieszkanie pod jednym dachem nie wchodzi w rachubę, ale to, co on robi dla tych dzieci, jest warte zachodu. Gdyby pomogła mu w sprawach medycznych...

– Podobno przydałoby się tu dwóch lekarzy.

– Nawet sześciu. Od lat składamy oferty pracy.

– Gdybym miała tu zostać...

– To nie u niego – dokończył za nią Graham.

– Ja... Nie, nie u niego. – Dominic uważa, że nie mogliby razem pracować przez „to”, co jest między nimi. Może jednak by mogli, gdyby mieszkali osobno.

– Myślę, że najpierw w tej kwestii ma coś do powiedzenia nasza Tansy – rzucił Graham z uśmiechem. – Ale to znaczy, że musiałyby pani gdzieś zamieszkać. Może w domu starego doktora?

Sprawa przybierała nieoczekiwanie szybki obrót.

Na horyzoncie wstawał dzień, kiedy wyjechali z miasteczka. Jechali teraz pośród pastwisk, skąd spoglądały na nich zaspane owce.

Miałaby się tu przenieść?

– Gdzie... jest dom starego doktora?

– Mogę panią tam zawieźć po wizycie u Mathesona – zaproponował. – To mały domek, przybudówka do budynku dawnego szpitala. Po śmierci starego doktora władze zamknęły szpital, a doktor Dom twierdzi, że nie można go otworzyć na nowo, bo on nie ma zmiennika. Ale dom lekarza należy do gminy i czeka na personel. Czyli na panią. Kurczę, mając dwóch lekarzy, moglibyśmy znowu mieć szpital. Jak pani myśli?

– Muszę się nad tym zastanowić. I porozmawiać z Domem.

– Co on tu ma do gadania? – roześmiał się Graham. – Po godzinach, kiedy nie jestem strażakiem, prowadzę hotel, przewodniczę izbie handlowej i piastuję urząd burmistrza. Nie puszczę pani, jeśli oznacza to szansę na drugiego lekarza. Może się pani uważać za zatrudnioną.

Enid Matheson umarła podczas snu, we własnym łóżku, u boku małżonka.

– Niewielu ma takie ostatnie pożegnanie – szepnęła Erin, stwierdziwszy zgon.

Dotknęła twarzy staruszki pożegnalnym gestem. Nieboszczka miała osiemdziesiąt lat. W jej domu na każdym kroku stały fotografie: ona z mężem, z dziećmi, z psami, wnuczętami, nagrody z wystaw hodowców bydła, dyplomy z konkursów na ciasto z owocami....

Nijak miał się do tego sterylny, marmurowy wystrój domu jej rodziców. Poczula ukłucie zazdrości.

Ale potem przypomniały jej się rowerki, skoczek pogo i ogólny chaos panujący na podwórzu Dominica. I znowu ukłucie, ale inne.



Kończąc oględziny zwłok, upomniała się w myślach, że nie pora na jej osobiste sprawy, bo w kuchni siedzi stary Hughie i płacze. Włączyła czajnik i znalazła dwa kubki. Graham czekał na dworze.

– Proszę się niczym nie przejmować – powiedział. –Moi chłopcy czuwają u Doma, więc mnie się nie spieszy, a Hughie będzie pani potrzebował. Zaczekam tutaj.

– Proszę mi opowiedzieć o żonie. – Postawiła przed Hughiem kubek z gorącą posłodzoną herbatą. – Śliczny dom. Domyślam się, że żona była wspaniałą kobietą.

– Tak, ona jest... – Jego wzrok powędrował do otwartych drzwi sypialni. – Była wspaniała. – Potrząsnął głową.. – Naprawdę chce pani o niej posłuchać?

– Naprawdę. – Nawet nie zdawała sobie sprawy, jak szczerze jej na tym zależy.

Pierwszy raz znalazła się w sytuacji, w której pacjent może stać się przyjacielem. Ta Wielkanoc będzie przełomem w jej życiu.

Do tej chwili miała Doma za poświęcającego się bohatera, ale teraz przy trzecim kubku herbaty, zasłuchana w opowieść o nieboszczce, zrozumiała, że to działa w obie strony. Też by tak mogła. Co więcej, też by tak chciała.

– Doktor był bardzo dobry. – Głos staruszka wyrwał ją z zadumy.

– Opiekował się żoną?

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że są przerzuty, nasze dzieci chciały umieścić ją w hospicjum, ale doktor powiedział, że jak Enid chce być w domu, to tak ma być i poruszył niebo i ziemię, żeby tak się stało. Przyjeżdżał do niej codziennie. Z chłopcami. Wozilem ich ciągnikiem, kiedy on siedział przy niej. Wie pani, ona prawie nie cierpiała. „Jak będzie bolało, to do mnie dzwońcie”, mówił. I przyjeżdżał. Złoty człowiek. Ale za ciężko pracuje.

– Tak, wiem. Zamierzam mu pomóc. Stary człowiek podniósł na nią wzrok.

– To bardzo dobrze. Pani jest taka sama jak on. Od razu to widać. A teraz... – Westchnął. – Teraz pora zawiadomić dzieci, zadzwonić do kościoła. Dziękuję, że poświęciła mi pani tyle czasu. Nawet nie wie pani, jak bardzo jestem pani wdzięczny.

– Mam zadzwonić do nich w pana imieniu?

– Tak, proszę – odparł z godnością. – A ja posiedzę przy żonie, zanim ktoś przyjedzie.

Potem Graham zawiózł ją pod dom lekarza i szpital. Budynek wyglądał na niezniszczony, wręcz świeżo wyremontowany. Otaczały go ukwiecone rabaty i drzewa eukaliptusowe.

– Jakby go zamknięto wczoraj – zdziwiła się.

– Ludziom się nie podobało, że go zlikwidowano – wyjaśnił Graham – więc grupka naszych seniorów doprowadziła go do porządku. Będzie, jak znalazł, jeśli kiedykolwiek uda się nam ściągnąć drugiego lekarza.

– Nie obejdzie się bez wniosków i podań.

– Mam to w małym palcu. – Przyglądał się jej kątem oka.

– Podejrzewam, że Domowi odpowiada rola jedyne go lekarza w okolicy.

– Pani chyba żartuje.

– Gdybym się tu przeniosła...

– Naprawdę jest pani zainteresowana? Pani doktor... Wiem, że jest tu pani od dwóch dni i że to pani samochód spadł z szosy. Może uderzyła się pani w głowę? Chyba jeszcze nie powinna pani podejmować ważnych decyzji.

– Bardzo pan łaskawy.

– Prawda? – Łypnął na nią wesoło. Otworzył drzwi auta, żeby wysiąść. – Udzieliłem pani ustawowego ostrzeżenia. A teraz pokażę pani pani nowy dom.

To podwórze spodoba się psu. – Już podnosił się z siedzenia, ale się zawahał. – Nie wiem, czy powinienem to mówić, ale mam dwie córki. Pani i Dom...

– Co takiego?

– On jest bardzo przystojny. Moje córki mówią o nim „ciacho”. Czy pani się w nim kocha?

– Nie. Skądże znowu!

– Całe szczęście. – Wyraźnie mu ulżyło. – Moje córki twierdzą, że dla niego jest Tansy i tylko Tansy. Miejscowe dziewczyny stają na głowie, ale żadnej się jeszcze nie udało. – Potrząsnął głową. – Koniec tych bzdur. Powiedziałem swoje. Chodźmy obejrzyć pani nowy dom.

Gdy wróciła, Dominic i chłopcy siedzieli przy śniadaniu. Oraz wielkanocnych jajkach.

– Wesołych świąt – powitał ją Dominic. – Zajączek już nas odwiedził.

Przed każdym na talerzu leżało jajko albo pól, bo najwyraźniej pod jej nieobecność sporo jajek już zniknęło. Tylko na jej macie stało nietknięte jajo w różowej folii z chorągiewką z napisem „Erin”.

Jej jajo. Wzruszyła się na myśl, że w tym zamieszaniu Dominic znalazł czas, by zabawić się w wielkanocnego zajączka. I pamiętał o niej.

– Na zajączku można bardziej polegać niż na facecie, który piecze wielkanocne babeczki – wyjaśnił z uśmiechem.

– Kupiłeś dla mnie jajo. – Wargi jej drżały.

– Zajączek je przyniósł. – Nathan wyprowadził ją z błędu. – Były na stole, jak wstaliśmy.

– Zajączek ma bardzo dobre serduszko – wykrztusiła.

– Skąd on wiedział, że tu jesteś? – zastanawiał się chłopiec.

– Czary – odrzekła, siadając, bo nogi się pod nią ugięły. Oni są niesamowici, wszyscy trzej. Jej chłopcy...

Skąd taka zaborczość? Nic ich z nią nie łączy, chociaż może będzie pracować razem z Domem.

– Gdzie byłaś? – zapytał, podając jej płatki kukurydziane. – Wiem od strażaków, że odebrałaś jakiś telefon.

– Mogę zjeść jajo, zanim odpowiem?

– Jeśli musisz...

Odwinęła różową folię i wgrzyła się w czekoladę, ostrożnie postawiła jajo przed swoją miseczką, po czym wsypała do niej płatki.

– To wygląda jak jakiś rytuał.

Przytaknęła.

– Kiedyś zajacek podrzucił mi czekoladowego zajaczka zamiast jajka, co na cały rok zaburzyło mi psychikę.

– Rozumiem. Więc gdzie byłaś?

– U Mathesonów.

Jego ręka z dzbankiem z mlekiem zawisła w powietrzu.

– Jak... ?

– Koniec piękny i cichy. – Uśmiechnęła się. – Dzięki tobie. Spisałeś się na medal.

– To Hughie dzwonił?

– Tak, o szóstej. Graham mnie zawiózł.

– Trzeba było mnie obudzić. – Dom był zły.

Hm, zastąpiła go bez porozumienia z nim. Bardzo nieprofesjonalnie. Ale gdy spojrzała na chłopców pałaszujących płatki, poczuła, że postąpiła słusznie. Gdy się obudzili, Dominic był przy nich. Jest im potrzebny. Wybrał rolę ich opiekuna, więc musi akceptować konsekwencje tego kroku. Chyba czytał w jej myślach, bo mocniej zacisnął wargi, ale zamiast złości na jego twarzy malowało się coś innego. Zakłopotanie?

- Co, nie jesteś gotowa wysłuchać reprimendy?
- Na pewno nie za panią Matheson ani za cokolwiek, co dzisiaj zrobiłam.
- Co jeszcze zdążyłaś dzisiaj zrobić? – zapytał.
- Znalazłam dom dla Marilyn. Ale o tym pogadamy po śniadaniu. Teraz

zajmę się moim jajem.

Powinien oprzytomnieć.

Nadal nie mógł się otrząsnąć po wydarzeniach minionej nocy. Zawaliłeś sprawę, pomyślał. Bo Erin cię rozprasza. Całowała go tak, jakby pragnęła stać się częścią jego życia. Idiotyczna myśl.

Może nie do końca idiotyczna. Ma rodzinę, pracę i... no tak, odpowiedni poziom testosteronu, który sprawia, że podoba się kobietom. Ruby stale mu to powtarza. „Będiesz wspaniałym mężem, a to, że twoi rodzice się nie sprawdzili, wcale nie znaczy, że cały świat jest do kitu. Są udane związki. Otwórz się, a na pewno jakaś godna ciebie dziewczyna znajdzie drogę do twojego serca”.

Tak się czuł teraz: Erin nim zawładnęła, a on tego nie przewidział. Zawładnęła jego umysłem. Gdyby nie ona, zapewne by się zorientował, że z Martinem dzieje się coś niedobrego. Więc jak najszybciej musi się jej pozbyć.

Przecież sam pozwolił jej zostać na czas Wielkanocy.

– Nie martw się – usłyszał jej głos. – Znalazłam sobie mieszkanie. – Uśmiechnęła się słodko, a on aż zamrugał, zaskoczony tym, jak wyrazista okazała się jego twarz.

– Gdzie?

– Powiem ci po śniadaniu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ale po śniadaniu przeżyli istny najazd strażaków, którzy mimo święta musieli sprawdzić stan budynku.

– Konstrukcja domu nie została naruszona – oświadczył Graham koło południa. – Ale musisz się zastanowić, co zrobić z pokojem Tansy.

– Skontaktuję się z nią, a do jej powrotu niczego nie będę dotykał.

– Kiedy ona wraca?

– Za dwa tygodnie.

Tajemnicza Tansy. Dlaczego każda wzmianka o niej tak mnie irytuje, zastanawiała się Erin. Wiedziała dlaczego, ale nie chciała się do tego przyznać.

Na szczęście zjawily się dwie panie z kościoła, by zabrać chłopców na poszukiwanie wielkanocnych jajek, więc zaproponowała, że pójdzie z nimi.

Obserwując z boku, jak dzieci buszują w lasku za kościołem w poszukiwaniu ukrytych tam jajek, zastanawiała się nad propozycją Grahama.

Ale każdy, kto się dowiadywał, że jest lekarką, reagował tak samo.

– Nie zechciałaby pani u nas zostać? Przydałoby się na nowo uruchomić szpital...

Mogłaby tu zrobić dużo dobrego, czułaby się potrzebna, byłaby blisko Dominica.

Jednak on odrzucił jej propozycję. Z irracjonalnych powodów. Tak, trzeba mu je wyperswadować.

Brakowało mu jej. Odkąd odjechała z chłopcami, upłynęły trzy godziny. Mógł dzięki temu zaprowadzić w domu trochę porządku. Kilka starszych pań z kościoła stawilo się z mopami i miotłami, przeszły przez dom jak burza, czyszcząc wszystko co po drodze.

W trakcie sprzątnięcia zasypały Doma pytaniami, również o Erin.

– Wygląda sympatycznie. Od córki Mathesonów dowiedziałyśmy się, że poświęciła jej ojcu ponad godzinę. Robiła mu kolejne herbaty i pozwoliła się wygadać. I to po tym strasznym wypadku. Doktorze, dlaczego nam pan o tym nie powiedział? Zwołałybyśmy mężczyzn, żeby wyciągnęli jej auto z rzeki. To nic, że są święta. Jakim ona jest lekarzem? Nie zechciałaby u nas pracować? Ciekawe, jak Tansy ją przyjmie...

Dowiedzieli się tego wkrótce.

O czwartej, niemal jednocześnie pod dom zajechały cztery samochody. Dominic wyjrzał przez okno.

W pierwszym, należącym do kierowniczkii chóru kościelnego, siedziała Erin i chłopcy. Tuż za nim zatrzymało się porsche. Charles.

Trzecia była taksówka, a za nią małe czerwone autko. Ruby? Ale Ruby jest w Dolphin Beach u Pierce'a, jego adoptowanego brata oraz bratowej.

Nie, to Ruby we własnej osobie.

– Martin, Nathan! Słyszałam, że dużo się u was działo!

Tansy!

Tansy gramoliła się z taksówki. Upuściła torebkę, zaklęła, przydeptała sobie szal, aż w końcu przysiadła na krawężniku, by wysypać na trawę zawartość torebki.

– Przysięgam, że miałam banknot... Może uzbieram drobnymi... Proszę zaczekać.

A pośród tego rejwachu Erin... zagubiona. O matko. Sięgnął po portfel i ruszył na spotkanie... swojej rodziny?

– Tansy!

Chłopcy z piskiem puścili się pędem witać opiekunkę.

Ta kobieta, która siedzi na krawężniku i liczy pieniądze, wygląda jak... jak Tansy, pomyślała Erin. Postawna, rade, kręcone włosy. Rano pewnie były

związane gumką, ale teraz sterczały na wszystkie strony. Fioletowa spódnica do kostek wystrzępiona na dole, a na nogach czerwone kozaki, koronkowa bluzka z wielkim dekoltem, na szyi mnóstwo różnokolorowych paciorków, a do tego szal. Żółty. Po trzydziestce?

Dlaczego na jej widok Erin zabolęło serce? A dlaczego miałyby nie boleć? Zaangażowała się tak bardzo, że już nie miała siły udawać.

Gdy Martin i Nathan rzucili się Tansy na szyję, monety wypadły jej z rąk.

– Chłopaki, jak się cieszę, że was widzę. Pani Neale zadzwoniła do mnie o nieludzkiej godzinie, żeby mi powiedzieć, że macie problemy. Leciałam do was trzema samolotami, ale już jestem.

Erin, zżerana szczerą zazdrością na widok dwóch dziecięcych główek wtulonych w rudą aureolę Tansy, przestała słuchać kierowniczkę chóru.

Tansy jest z powrotem w Bombadeen. Dominic wróci do pracy, więc ona nie ma po co tu zostawać.

Niska przysadzista kobieta w bliźniaku, perłach, skromnej spódnicy oraz butach na płaskim obcasie z uśmiechem przyglądała się scenie na krawężniku. Obok niej na ziemi stała okazała płócienna torba.

– A ze mną kto się przywita? – rzuciła.

– Ruby! – wrzasnęli chłopcy.

– Czy ktoś mi wreszcie zapłaci? – jęknął taksówkarz.

Erin dostrzegła Charlesa, który jak na zawołanie wyłonił się zza samochodów. Szedł, licząc banknoty. Charles nie uznaje drobnych, przypomniała sobie Erin. O, pomaga Tansy wstać.

– Cześć – powiedziała Tansy. – Jak ci na imię?

– Charles.

– A ja jestem Tansy.



On ma całkiem ładny uśmiech, przyznała w duchu Erin. Do niej już tak się nie uśmiecha, pochłonięty pracą nad nią. Ale jak się uśmiechnie...

Charles wyglądał jak rażony piorunem.

– Ile znaleźliście jajek? – usłyszała głos Doma. On też obserwował duet Tansy–Charles.

– Siedemnaście, ale sześć zjedliśmy.

– Gratuluję.

– Zdaje się, że mamy gości.

– Na to wygląda. – Położył jej rękę na ramieniu, za co była mu ogromnie wdzięczna.

– Tansy, Charles... i Ruby?

– Moja przybrana matka. Powinienem był wiedzieć, że się stawi.

– Dlaczego?

– Przecież mieliśmy pożar. Ruby i Tansy mają niesamowitą intuicję. Bardzo dziwne, że straż pożarna zdążyła przed nimi. Charles... Jak myślisz, po co on przyjechał?

– Jestem tu po to, żeby cię zabrać do domu – odezwał się nagle Charles, z trudem odrywając spojrzenie od Tansy. – Dowiedzieliśmy się z telewizji, że dom doktora się spalił. Erin, bądź rozsądna.

– Nie chcę – mruknęła bez przekonania.

– Nie masz gdzie się podziać.

– Nie spalił się całkowicie – stwierdziła Tansy. – Spodziewałam się czegoś znacznie gorszego. O, to moje okno? To zabite deskami?

– Spalił się twój pokój – wyjaśnił Dominic.

– To ja zrobiłem pożar – odezwał się wystraszony Martin. W tej samej chwili rozwiały się wszelkie wątpliwości Erin w kwestii Tansy, bo ta porwała chłopca na ręce, uściskała go serdecznie, po czym pocałowała w głowę.

– Na pewno niechęć. Dominic już z tobą o tym rozmawiał?

– T... tak.

– No to sprawa załatwiona.

– To znaczy, że nie jestem wam potrzebna. – Ruby z wyrzutem spoglądała na dom. – Myślałam, że zabiorę chłopców do Dolphin Bay.

– Chłopcom nic się nie stało.

– Ale... czy mogę zostać u was na noc? – zapytała. – Mam wsiadać do auta i wracać taki kawał? Zmieścimy się tu wszyscy?

– Hm... Chyba nie. – Dominic się spieszył. – Pokój chłopców oraz mój są okej, ale z sypialni Tansy nic nie zostało, a Erin śpi w salonie.

– Przyjechałem po Erin – wtrącił Charles, ale wyczuwało się, że mówi to bez przekonania. W dalszym ciągu wpatrywał się w Tansy jak zauroczony. — Możemy nawet zabrać psa – dodał. – Moja mama powiedziała, że w obliczu pożaru należy się zdobyć na chrześcijański odruch.

Pocziwy Charles, pomyślała Erin. Żyje jak ona pod presją czworga rodziców. „Zrób, co Erin zechce...”.

Dobry z niego człowiek, ale ona za niego nie wyjdzie. Zwłaszcza teraz, kiedy już wie, co to znaczy uczucie.

Oddechnęła głęboko.

– Nie musisz zabierać mnie do domu – oznajmiła. –Znajdzie się też miejsce dla Ruby. Mam gdzie mieszkać. Wszystko sobie poukładałam. Postanowiłam zacząć nowe życie. Przyjęłam propozycję pracy w Bombadeen. Charles, mój dom jest tutaj.

Nie osiągnęłyby takiego efektu, gdyby zdetonowała bomba. Wszyscy zamilkli. Wpatrywali się w nią, jakby miała dwie głowy. Nie widziała reakcji Dominica, bo stał za nią. Czuła jedynie, jak jego palce na jej ramieniu zeszywniały.

Może to głupi pomysł. Może Tansy już wcześniej przełamała jego opory. Ale ręka Doma nadal leży na jej ramieniu. Gdyby byli parą, już by ją cofnął. On i Tansy... Może jednak nie.

Na twarzy Ruby pojawił się uśmiech.

– Zamieszkas z moim synem?

– Dom jest twoim synem?

– Przybranym. – Ruby oswobodziła się z objęć chłopców, chwyciła Erin za rękę, ucałowała w oba policzki, po czym serdecznie uściskała Dominica. Sięgała mu do piersi. – Znalazłeś kobietę... – wyszeptała uradowana.

– Nie.

– Nie wprowadzam się do niego – wyjaśniła Erin.

– Dlaczego?

– Przenoszę się do domu starego doktora.

– Nie żartuj – jęknął Dominic.

– Ależ to wspaniała wiadomość – przemówiła kierowniczka chóru, o której wszyscy już zapomnieli. – Jak się cieszę! Zaraz przykażę Grahamowi, żeby jak najprędzej spisał kontrakt. Widzę, że macie kłopoty z noclegiem, więc biorę na siebie przygotowanie domu starego doktora, tak żeby już dzisiaj mogła się tam pani wprowadzić. Dostarczymy nawet karmę dla psa. – Kobieta promieniała. – Trzeba kuć żelazo póki gorące, prawda?

– Uff – sapnął Charles. I chyba zrobił to w imieniu wszystkich zebranych.

– Do zobaczenia. – Kierowniczka chóru odjechała. Jedno z głowy, pomyślała Erin, ale na tym nie koniec.

Powinna porozmawiać z Domem na osobności.

– Zawiozę cię tam. Zaraz – odezwał się ponuro.

Uff.

– Jak to? Wszyscy są tutaj.

– I dlatego muszę znaleźć się gdzie indziej. Charles, wniesiesz rzeczy Tansy i Ruby do domu? Rozgoście się na górze. Ja z chłopcami zostanę na dole. Erin, zabieram cię...

– Z Marilyn.

– Z Marilyn.

– Erin... – bąknął Charles.

– Oni chcą być sami – pouczyła go Tansy, biorąc go pod ramię. – Ja to czuję.

– Jesteś w to bardzo dobra – pochwaliła ją Ruby. – Z tej samej mąki co ja. Charles, weź moją torbę.

– Erin...

– Charles, przekaz naszym rodzicom, że ich kocham.

– Musiała się spieszyć, bo Dominic już ciągnął ją za rękę.

– Wieczorem do nich zadzwonię. Dziękuję, że przyjechałeś mnie ratować, ale mam wrażenie, że już sama się uratowałam. Dom, dokąd idziemy?

– Jak to dokąd? Po twoją Marilyn. I szczoteczkę do zębów. A potem pozbędę się chociaż jednej baby ze swojego życia.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na pysku Marilyn, którą wraz z potomstwem umieścili na tylnym siedzeniu, malowała się taka rezygnacja, do jakiej zdolne są tylko buldogi. Chyba żadna kobieta w pòłogu nie doświadczyła tylu przeprowadzek, ale dopóki zgadzała się liczba jej szczeniát, Marilyn zachowywała spokój.

Erin towarzyszyły inne emocje, przede wszystkim niepokój. Dominic za to był po prostu wściekły.

Gdy przejeżdżali przez miasteczko, miejscowi radośnie machali im na powitanie. Erin też machała. Dominic nie odrywał rąk od kierownicy.

– Powiesz mi, co jest grane?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Te decyzję podjęłam pod wpływem chwili... Żeby tu pracować.

– Chyba nie mówisz tego poważnie.

– Myślę, że poważnie.

– Spodziewasz się wiejskiej sielanki?

– Nie, nie tego się spodziewam – oparła niespieszona. – Chcę być... potrzebna. I nie chcę wychodzić za Charlesa tylko po to, żeby uszczęśliwić rodziców. Chcę zrobić coś dla siebie.

– I Bombadeen ma ci to umożliwić?

– Myślę, że tak.

– Więc rzucisz tę nową pracę, zostawiając pracodawcę na lodzie...

– Wygrałam konkurs, ale tuż za mną uplasowało się jeszcze dwóch kandydatów. Teraz mam dwa tygodnie urlopu, więc szpital ma czas, żeby zatrudnić kogoś z tej dwójki.

– Na wszystko masz gotową odpowiedź!

– Mam rozumieć, że mnie nie chcesz?

– Co proponujesz? – Zmienił temat.

– Zamieszkać w domu starego doktora i będę leczyć ludzi. – Wzruszyła ramionami. – Każdy, z kim dzisiaj rozmawiałam, opowiadał mi, jak ciężko pracujesz. Wiem od nich, że praktycznie ze wszystkim jeżdżą do Campbelltown, bo ty nie dajesz rady. To prawda?

– Tak, ale...

– Więc nie będę ci przeszkadzać. Wywieszę informację, że przyjmuję odrzuty doktora Doma.

– Moje odrzuty.

– Mogę nawet przyjmować tych z ubezpieczalni – obiecała wspaniałomyślnie. Biurokratyczne procedury były zmorą wszystkich lekarzy. Na wypełnianie formularzy dziennie tracili co najmniej godzinę.

Ta propozycja zrobiła na nim niemałe wrażenie.

– Nie żartuj – mruknął, po czym całkiem nieoczekiwanie się uśmiechnął.

Super. Osiągnęła cel. Atmosfera w samochodzie uległa nieznacznej poprawie.

– Domyślam się, że masz najwyższe kwalifikacje – zaczął ostrożnie. – Inaczej nie dostałabyś propozycji kierowania zespołem ratunkowym.

– Robię bardzo ładne opatrunki.

– Oraz całą resztę. – Spoważniał, ale napięcie już nie wróciło. – Wolę nie myśleć, o ile jesteś ode mnie lepsza. Ale skąd taka decyzja? Bez żadnej przyczyny...

– I tu się mylisz. – Nagle uznała, że musi powiedzieć mu prawdę. Jasne, jest nim zafascynowana, ale kiedy pomyślała o pracy w Bombadeen, w jej głowie nagle wszystko się ułożyło. – Podobał mi się dzisiejszy poranek. – Miała nadzieję, że Dominic zrozumie.

– U Mathesona...

– Tak powinno to wyglądać – rzekła półgłosem. – Pracując na ratunkowym, wiele razy miałam do czynienia ze śmiercią. Ale dzisiaj... zamiast zostawić Hughiego w rękach pracownika socjalnego, mogłam mu zrobić herbatę, usiąść i go wysłuchać...

– Dlatego tu jestem – zauważył z prostotą. – Zawsze chciałem być lekarzem rodzinnym.

– Moja rodzina uzna to za porażkę. Ale tak nie jest. Pojęłam to dzisiaj rano. A potem pomyślałam, że skoro i tak muszę się przeprowadzić, bo w służbowym mieszkaniu nie wolno trzymać psa, to dlaczego nie miałabym przenieść się do Bombadeen? Wiem, że masz co do nas wiele obaw, ale myślę, że sobie z tym poradzimy. Chcę spróbować.

– Poważnie?

– Tak.

Nie miał więcej pytań. Gdy kilka minut później zajechali pod dom starego lekarza, wchodziły tam dwie kobiety z naręczem pościeli, a za nimi mężczyzna w starszym wieku taszczył... psią budę!

– O rany! – jęknął Dom. – Poważna sprawa. Znam talenty organizacyjne naszej Marge, ale żeby aż tak...

– Nie wydaje mi się, żeby Marilyn nadawała się do budy – zauważyła z powątpiewaniem Erin. – Widzę ją raczej w nogach mojego łóżka. Oszalaniające tempo...

– Owszem – przyznał. – Obudzisz się jutro i stwierdzisz, że to jakaś szalona aberracja.

– Możliwe. – Ale w to nie wierzyła. Wysiadła z auta, by wyjąć Marilyn, ale Dominic ją ubiegł.

– Ja ją wezmę, ty przenieś szczeniaki.

– Marilyn, to twoja ostatnia przeprowadzka. Suka omiotła ją posepnym spojrzeniem.

Weszli do domu, gdzie na widok Marilyn staruszek od psiej budy cicho zaklął.

– Ożeż ty! Kochana, z takim zadem to ona się przez ten otwór nie przecisnie!

Erin obdarzyła go szerokim uśmiechem.

Przemaszerowała ze szczeniakami cały dom, za nią Dominic z Marilyn na rękach. W końcu otworzyła drzwi do kuchni. Z okien rozciągał się widok na morze.

– Pięknie... – westchnęła.

– Tutaj lokujemy lekarzy, którzy z rzadka przyjeżdżają na zastępstwo. Jest tylko jedna sypialnia.

– Marilyn i mnie to wystarczy. – Na kuchennym stole stał koszyk z bochnem jeszcze ciepłego pachnącego chleba oraz karton z zakupami, a do tego pęk czerwonych maków w białoniebieskim dzbanku.

– Prawdziwy dom...

– To przekupstwo – ostrzegł ją Dominic. – Jak myślisz? Jak mnie tu zwabili?

– W ten sam sposób?

– Przeczytałem ogłoszenie, przyjechałem na rozmowę i poznałem Tansy. Oprowadziła mnie po tym domu, ale powiedziałem, że muszę mieć pokój dla wychowanków oraz dla ich opiekunki. Tansy zabrała mnie na spacer po mieście i kiedy piłem kawę, miejscowi zabrali się za porządki, po czym Tansy zaprowadziła mnie do tego domu, w którym teraz mieszkam. Nawet chleb był taki sam. – Uśmiechnął się szeroko do siwowłosego mężczyzny w korytarzu. – Pete piecze najlepszy chleb w całej prowincji. Tansy jest częścią tej strategii.



– Tansy...

– „Jak pan tu zostanie, będzie pan jadł taki chleb, będzie mieszkał w tym domu i będzie miał taką gosposię”, tak mnie zażyła. Nie rozumiem, jak to się stało, że z takim talentem do marketingu przez dziesięć lat w ogóle nie mieli lekarza.

– Skuteczne, prawda? – odezwał się Graham. – Mamy drugiego lekarza?

– Chyba tak – szepnęła Erin.

– Wynocha – fuknął Dom. – Ta pani miała wypadek. Nie mogę jej wykorzystywać.

– Ups, to znaczy, że większy z ciebie dżentelmen niż ze mnie – parsknął piekarz Pete.

– Musimy porozmawiać o sprawach zawodowych – mówił Dominic. – Zrozumiałem cię, Pete, ale teraz zostaw damę mnie.

– Pod warunkiem że jej nie wypuścisz – odciął się piekarz, lustrując Erin pełnym aprobaty spojrzeniem. – Wszyscy uważamy, że należy ją zatrzymać. Graham, chodź, wytniemy większą dziurę w tej budzie.

Gdy zostali sami, ona nadal trzymała szczeniaki, on Marilyn. Postawił sukę na ziemi, po czym zniknął w głębi domu, żeby wrócić ze stertą koców.

– To stare koce – wyjaśnił. – Dla doktorów mamy kołdry. Powinno jej to wystarczyć.

Na legowisko wybrali miejsce w rogu, koło pieca, nieopodal drzwi kuchennych.

– Gdybyś miała zostać, to mógłbym założyć dla niej klapę w drzwiach.

– Zostaję.

– Jeszcze nie wiesz.

– Ja to wiem. – Układała szczenięta na legowisku, po kolei podsuwając je suce pod nos. – Widzisz, kochana, są wszystkie, całe i zdrowe. Stąd już nikt was nie ruszy. Jak chcesz, to napiszę na ścianie „Tu mieszka Marilyn”.

– Pokażę ci szpital. Jeśli chcesz...

– Jasne, że chcę.

– Nie robisz tego, bo... – Zawahał się, po czym nagle zaklął. – Źle zrobiłem, że cię pocałowałem.

– A może to ja nie powinnam była cię całować.

– Każdy, z kim pracuję... W grę wchodzi wyłącznie profesjonalizm.

– Co stoi temu na przeszkodzie?

– Nie wiem... A może wiem.

– No, o co ci chodzi? Wszyscy wiedzą, że powinieneś mieć współnika.

Masz za mało pracy?

– Nie.

– Przeszkadza ci tylko to zauroczenie.

– Idiotyczne. – Wzruszył ramionami. – Dobra, przejdzie nam. – Odwrócił się, wyszedł na korytarz, po czym otworzył jedno z drzwi.

Minawszy pokoje dla pacjentów, znaleźli się w sali operacyjnej.

– Stary doktor operował tu w pojedynkę. W czasie wojny był jedynym lekarzem w promieniu stu kilometrów. Operował nawet wyrostki.

– I jednocześnie rozwiązywał krzyżówkę – zażartowała. – Kurczę, przy lekarzach starej daty jesteśmy jak mięczaki. A ty co tu robisz?

– Drobne sprawy, naprawdę drobne. Na pewno nie wyrostki. Ambulatorium w moim domu jest bardzo małe, więc kursuję raz tu, raz tam.

– Nie będę ci przeszkadzać, pracując w tle?

– Erin, posłuchaj...

– Słucham. – Przysiadła na stole operacyjnym.

– Nie wierzę, że to poważna decyzja.

– Jak najpoważniejsza. Bardzo mi się tu podoba. Graham zaproponował mi kontrakt. Tego szukałam, ale widzę, że główny zainteresowany krzywo na to patrzy.

– Nieprawda.

– Prawda. Zapewniam cię, że posiadam odpowiednie kwalifikacje. Graham twierdzi, że tak bardzo potrzebujecie lekarza, że przyjęlibyście mnie, nawet gdybym była ledwie żywą pijaczką.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że nie interesuje mnie romans.

O mało nie spadła ze stołu.

– Słyszałam. Jestem tu jako lekarz, nie kochanka.

– Całowałaś mnie.

– A ty mnie. Ta noc była koszmar, więc kiedy się okazało, że wszyscy żyjemy, byłam taka szczęśliwa, że pocałowałabym Marilyn... Chyba nawet to zrobiłam.

– Ale nie tak jak mnie.

– Skąd wiesz? Nie jesteś Marilyn – zachnęła się. –Przejdźmy lepiej na płaszczyznę zawodową i tak trzymajmy. Jestem przekonana, że w Bombadeen znajdzie się miejsce dla nas obojga.

– Nie szukałem pomocnika. Nie zapytałaś mnie...

– Tak, powinnam była zapytać. Ale znalazłam się pod ścianą. Muszę mieć dom dla Marilyn.

– Ona nawet nie jest twoja.

– Jest moja. – Staneła wyprostowana. – Dominic, wtargnęłam w twoją strefę bezpieczeństwa...

– Wcale nie.

– Ale ja dostałam większego kopa. Stoczyłam się do rzeki, o mało nie zginęłam, ratowałam Marilyn i pomogłam ratować Martina, to ja zastanawiałam się, jak wrócić do dawnego życia, aż dzisiejszej nocy zdałam sobie sprawę, że wcale nie chcę tam wracać. Dominic, robisz w tym miasteczku wiele dobrego, a ja chcę do ciebie dołączyć. Jesteś egoistą, nie zgadzając się na to.

– Ja jestem egoistą?

– Tak. Mówisz mi, że nie mogę tu zostać.

– Za tydzień już cię tu nie będzie.

– O ile się orientuję, mój kontrakt ma opiewać na sześć miesięcy. Jestem odrażająca?

– Nie, ale...

– Ale co? – Ręce jej opadły. – Wiem od Grahama, że masz pod swoją opieką osiem tysięcy ludzi. Chyba możesz mi przekazać kilku pacjentów? A jeśli się boisz, że cię uwiode, to jesteś wystarczająco dorosły, żeby mnie przepłoszyć. Już możesz uważać, że mnie przepłoszyłeś.

– Nie wiem, czy potrafię z tobą pracować. To, co czuję... Mam ryzykować? W moim przypadku zmiana nie wchodzi w rachubę. Najważniejsza dla mnie jest praca i chłopcy, a przy tobie tracę głowę.

– A ja przy tobie. Więc musimy jakoś to załatwić. Powiedz mi, że nic a nic nie jesteś zainteresowany, albo że kochasz Tansy, albo że ślubowałeś żyć w celibacie do dnia sądu ostatecznego. Powiedz to i oboje o wszystkim zapomnijmy. Koniec i kropka. Profesjonalny chłód i nic poza tym.

Patrzył na nią oniemiały, aż zadzwonił telefon.

On jej nie potrzebuje.

Obserwowała, jak odwrócony do niej plecami rozmawia przez telefon.

Przegrałam, pomyślała smętnie. Co teraz?

– Gdzie ten wypadek? Ile? Jasne, już jadę. Spokojnie, stary, jesteś tam pierwszy, więc musisz sobie radzić. Postaraj się, żeby wszyscy mogli oddychać, usuń im wszystko z ust i z nosa. I żeby nikt nie siedział pochylony, bo wtedy trudno oddychać. Już do ciebie jadę.

Wszystko słyszała. Wypadek, liczni poszkodowani.

– Pomóc ci? – zapytała.

– Nie.

Już na progu przystanął.

– Tak. – Nie patrzył na nią. – Dwie mile za miastem, za moim domem, doszło do czołowego. Rozmawiałem z tamtejszym farmerem. Cztery osoby ranne, chyba poważnie. Karetka ma do pokonania pięćdziesiąt mil. Tak, mogę potrzebować pomocy. Będę wdzięczny, jeśli ze mną pojedziesz.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Powinien skupić się na czekającym go zadaniu, więc zadzwonił na policję oraz po karetkę, ale miał przed sobą jeszcze dwie mile na rozmyślenia.

Erin sprowadzi na niego cierpienie. Jej decyzja o pozostaniu w Bombadeen wydała mu się szalona.

Ona jest jak jego matka. Słabo ją pamiętał, głównie jej apatię, dopóki nie zjawiała się w domu „zakochana”.

„Dom, jakie to cudowne, teraz to co innego, to odmieni nasze życie”.

I tak wędrowali od jednego nieudacznika do następnego. Przypomniawszy sobie, jak mając zaledwie siedem lat, zapytał matkę: „Jak można się zakochać po jednym dniu? Jak można zdecydować się na przeprowadzkę bez zastanowienia?”.

Zerknął na Erin. Tak jak jego matka wyglądała jak człowiek, który zrywa z dawnym życiem, żeby zacząć nowe, tylko dlatego że to nowe jest ciekawe, inne i cudowne. Nie ma w tym nic cudownego, pomyślał. Oprzytomnieje i zrozumie, co jest dla niej ważne: Charles, rodzice, praca.

„To przez ciebie”. Usłyszał szloch matki sprzed lat. „Zostałby ze mną, gdyby nie ty. Dominic, przestań się mazać, poszukamy sobie nowego domu i następnym razem będziemy mądrzejsi. Tylko trzymaj się w cieniu. Nie wiem... bądź niewidzialny”.

Stał się niewidzialny, gdy trafił do rodziny zastępczej, do Ruby, a jego matka nigdy po niego się nie zgłosiła.

Miłość od pierwszego wejrzenia jest dla idiotów. Zerknął na Erin. Nie chciał jej zranić, ale...

Wyobraził sobie, że mógłby nawet ją pokochać. Ale jeśli zostanie z nią dłużej... będzie jeszcze gorzej.

Gdy mijali jego dom, auto Charlesa ciągle stało na podjeździe.

– Zadzwoń do niego – rzucił Dominic. – Skoro jest lekarzem...

Bez słowa sięgnęła po komórkę, ale Charles nie odbierał, w końcu odezwała się automatyczna sekretarka. Dziwne. I co on tam tyle czasu robi?

Nieważne, bo właśnie wyjechali z zakrętu i ich oczom ukazało się miejsce wypadku. Dwa wbite w siebie auta, fioletowy pickup i sedan, otwarty bagażnik, rozsypane torby, a na poboczu lalka, wyglądająca jak bezwładne zwłoki dziecka. Mężczyzna w kombinezonie i gumiakach stał na poboczu, trzymając na rękach dziewczynkę, która płakała w niebogłosy.

– To Frank, ten farmer. Cholera, potrzebna będzie dodatkowa pomoc. Skontaktuj się z Grahamem. – Wyskakując z samochodu, rzucił jej swoją komórkę.

Okej, wykona to polecenie, ale nic jej nie zatrzyma w aucie. Nie będzie siedziała spokojnie i rozmawiała przez telefon. Gdy Dominic wyjmował sprzęt, rzuciła się biegiem w stronę wraków.

– Czołowe zderzenie, dwie mile za domem doktora. Oboje już tu jesteśmy – relacjonowała w biegu. – Wezwaliśmy karetkę, ale potrzebna jest wasza pomoc.

– Zaraz tam będziemy.

Facet jest od wczoraj na nogach, pomyślała, i znowu pędzi komuś na pomoc. Niesamowite są te małe społeczności.

Dominic już otworzył jedne drzwi i pochylał się nad najbliższą ofiarą wypadku.

– Wzięłem małą, bo strasznie krzyczała – zawołał Frank z pobocza. – Nie wiem, co...

– Trzymaj ją – odpowiedział mu Dom. – Jest okej, poradzimy sobie.

Nie było okej. Kobieta siedząca najbliżej nich tępo patrzyła przed siebie, cicho jęcząc. Była w szoku.

– Sharon, spokojnie, zaraz cię uwolnimy – przemawiał do niej Dominic.  
Sharon lekko odwróciła głowę.

– D... Dom...

– Boli cię, jak oddychasz?

– N... nie.

Najpierw wynieśli na trawę Sharon. Jej rana na głowie okazała się niegroźna, za to na pewno kobieta miała złamaną nogę.

– Frank, usiądź przy niej z dzieckiem – poleciła farmerowi Erin. – Sharon, Frank będzie cię pilnował, bo ja i Dominic musimy ratować pozostałych.

Potem Dominic wyniósł chłopca.

– Zajmij się jego ojcem. Ma na imię Ivan.

Mały Max miał zmasakrowaną twarz i z trudem oddychał, ale Erin, stwierdziwszy, że kierownica wbiła się w klatkę piersiową Ivana, zaprotestowała.

– Nie. – Przejęła Maxa od Dominica. – Ivan nie może oddychać, potrzebna jest twoja siła. Ty go wyjmij, a ja wezmę Maxa. Masz tlen?

– W skrzynce.

– Dzięki Bogu.

Chłopiec miał złamany nos i wybite zęby, ale tym zajmą się później specjaliści, teraz najważniejsze było oddychanie.

– Będzie dobrze, Max – mówiła, nakładając mu maskę. – Dam ci też coś, żeby przestało boleć. – Ułożyła go tak, że opierał się o matkę.

Gdzie jest ta obiecana pomoc?



– Frank, posadź małą na ziemi – zwróciła się do farmera, a potem do matki. – Sharon, możesz ją wziąć za rękę? Frank jest mi potrzebny, żeby przytrzymał maskę Maxa. Trzymaj. – Pociągnęła Franka za rękę tak mocno, że aż ukląkł, po czym stanowczym gestem położyła jego dłoń na masce. –I nie ruszajcie się. Frank, jeśli ta maska się zsunie... Jeżeli coś cię zaniepokoi w wyglądzie albo zachowaniu Maxa, wydrzyj się na cały głos, a przybiegnę. Teraz muszę pomóc Domowi.

Stan Ivana był bardzo ciężki. Dominic stwierdził objawy odmy urazowej, co wymagało natychmiastowego odbarczenia płuca. Z opakowaną jeszcze igłą w zębach rozdzierał koszulę mężczyzny, by umożliwić Erin dezynfekowanie klatki piersiowej. Moment później odsunęła się, by ustąpić Domowi miejsca, ale niespodziewanie igła znalazła się w jej palcach.

– Ty jesteś specjalistą medycyny ratunkowej. Ty to zrób – powiedział.

Gdy zdecydowanym ruchem wbiła igłę na linii pachy, strumień powietrza zasyczał jak para uchodząca pod ciśnieniem. Raz już to robiłam, pomyślała, ale wtedy było za późno. Boże, spraw...

Tym razem się udało. Po chwili oddech Ivana się wyrównał, a jego klatka piersiowa zaczęła podnosić się i opadać. Teraz należało przewieźć go do szpitala.

– Hej, Ivan – odezwał się Dominic zmienionym głosem. Zwracał się do Ivana, ale nie spuszczał wzroku z Erin. – Jest dobrze. Gratulacje. Ivan, wyjdiesz z tego. Wypuściliśmy z ciebie powietrze. Doktor Erin to zrobiła. Mamy szczęście, że ona tu jest. – Przeniósł spojrzenie na Ivana. – Sharon i dzieciaki szybko wyzdrowieją. Ty też.

Niespodziewanie dokoła nich zaroilo się od pojazdów. Erin na podejrzenie miękkich nogach ruszyła do Sharon z podobną wiadomością.

– Gdzie jest kierowca pickupa?

To Graham. O matko, w szkockiej spódniczce! Później się dowiedziała, że szkocka orkiestra właśnie miała próbę. Kilkunastu chłopów w kiltach. Miała wrażenie, że śni.

– Nie znalazłem go – odparł Frank, nadal przytrzymując maskę tlenową na twarzy Maxa.

Dominic rozglądał się, sprowokowany pytaniem Grahama.

– Kierowca pickupa... Zniknął?

– Jak tu przybiegłem, już go nie było – odezwał się Frank. – Przysięgam. Usłyszałem huk, jak byłem w mleczarni. Byłem tu w dwie minuty, ale jego nie widziałem.

Wyrzuciło go z kabiny? Czy może... ?

– Muszę jechać – stwierdził nagle Dominic. W tej samej chwili dobiegł ich sygnał karetki. – Erin, wyekspedujesz ich? Do Campbelltown albo śmigłowcem do Melbourne. Wszyscy są ustabilizowani.

– Co się stało?

Na moment zamknął oczy. Instynktownie ujęła jego dłoń, a on mocno ją uścisnął.

– Boję się, że to ojciec Nathana. Muszę jechać.

Gdy karetki z poszkodowanymi odjechały, Erin udzielił się niepokój Doma.

– Jak myślisz – zwróciła się do Grahama – co się stało z tym człowiekiem?

– Policja obejrzała ślady opon – odparł. – Wygląda na to, że facet cały czas jechał pod prąd. I nawet ani na cal nie odbił. To Ivan zrobił wszystko, żeby uniknąć zderzenia.

– To znaczy, że on... – Strach ścisnął ją za gardło. –Graham, czy możemy ich tu zostawić, żeby zrobili porządek? Muszę wracać do Dominica.

Po drodze zwierzyła mu się ze swoich złych przeczuc, łudząc się, że martwi się niepotrzebnie, ale mars na twarzy Grahama jedynie potwierdził jej obawy.

– Dom i Tansy biorą dzieciaki, których nikt nie chce. Takie, które musiałyby wylądować w pogotowiu opiekuńczym, żeby zapewnić im odpowiednią ochronę. Ale Dom potrafi przegadać każdego oszołoma.

Nim Graham wyłączył silnik, puściła się biegiem w stronę werandy. Michael tu był.

Z kuchni usłyszała głosy Dominica i Charlesa.

Wpadła do środka. Tansy siedziała na krześle w pochłapanym krwią żółtym szalu, a Charles obmywał jej czoło. Nieopodal Ruby z Martinem na kolanach.

– Już jest dobrze. Już sobie poszedł... – pocieszała chłopca Ruby. – Znajdziemy Nathana, znajdziemy.

Dominic, odwrócony plecami do drzwi, rozmawiał przez komórkę. Odwrócił się na odgłos kroków.

– Erin... Graham, dzięki Bogu. Dzwonię do ciebie i dzwonię...

– Upuściłem komórkę na miejscu wypadku. Roztrzaskana. Co się tu dzieje?

– Potrzebna mi wasza pomoc.

Erin nie mogła się powstrzymać. Podeszła do niego i wzięła go za rękę. Jego problemy są jej problemami.

– Co się stało?

– On tu był. Ojciec Nathana. Naćpany. Dowiedział się z radia o pożarze. To on spowodował ten wypadek, ale mimo to tu dotarł. Powiedział, że jego syn nie jest tu bezpieczny, więc go stąd zabiera. Kiedy Nathan zaprotestował, uderzył go. Tansy interweniowała i też oberwała.

– Och, Tansy...

– Ale pomógł mi Charles – wyszeptała Tansy. – Nathan mu się wyrwał i uciekł, ale Charles zatrzymał Michaela. Dwóch policjantów akurat jechało do wypadku, ale się tu zatrzymali i pomogli Charlesowi. Aresztowali Michaela, ale Nathan zniknął. Uciekł do buszu.

– Przeszukałem pobliskie zarośla – odezwał się ponuro Dominic. – Zdarłem gardło, wołając Nathana. – Zwrócił się do Grahama. – Stary, jesteś mi potrzebny. Wszyscy jesteście potrzebni. Nathan musi się znaleźć.

RS

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Niesamowite miasteczko, niesamowici ludzie. Im lepiej ich poznawała, tym bardziej chciała zostać w Bombadeen. Minionej nocy pół miasteczka gasiło pożar, teraz będą szukali małego chłopca.

Nie pozwolono jej pomagać.

– Twoje stopy... W ogóle nie powinnaś chodzić, ani tym bardziej po wykrotach – warknął Dominic.

Ludzie błyskawicznie organizowali się w grupy poszukiwawcze, rozdzielając między siebie sektor po sektorze. Dominic już wziął na siebie przewodnictwo jednej z nich, ale Graham go powstrzymał.

– Załóżmy, że go znajdziemy – mówił – albo będzie się nam wydawało, że go znaleźliśmy... Chłopak jest wystraszony. Musisz być pod telefonem, żebyś mógł przyjść tam, gdzie będziesz potrzebny.

– Ja mogę tu siedzieć – zaofiarowała się Tansy.

– Wykluczone – oznajmił Charles, a Erin po raz kolejny dostrzegła w nim coś absolutnie nowego.

Jak długo on zna Tansy? Cztery godziny? Na coś się zanosi?

– Uderzył cię w głowę – przypomniał jej Charles. – Nie wolno ci nic robić bez prześwietlenia głowy.

– Ja się tym zajmę – zaproponowała Ruby, ale Dominic pokręcił głową.

– Nie. Graham ma rację. Charles też. Zostanę tu. Tansy musi jechać na prześwietlenie. Co innego popękane żebra, a co innego komplikacje neurologiczne. Charles, zawieziesz Tansy do Campbelltown?

– Jasne.

– A ja i Martin będziemy pilnowali ogniska domowego – oznajmiła Ruby ze stoickim spokojem.

W tej samej chwili Erin zrozumiała, że Dominic przyjmuje pod swoje skrzydła dzieci z problemami z wdzięczności dla Ruby. Czuła, że prozaiczne podejście do życia jego matki zastępczej dostarcza mu ogromnej pociechy. Nie wiadomo dlaczego zrobiło jej się przykro. Bo to ona chciała być jego źródłem pocieszenia. Gdyby jej pozwolił...

– Czy ktoś może podrzucić Erin do domu? – Dom zwrócił się do Grahama.

– Nie! – zaprotestowała.

– Tak. Masz poranione stopy i nie zamierzam cię dalej wciągać w nasze życie.

– Jej nie trzeba wciągać – odezwała się spokojnym tonem Ruby.

– Nieważne. – Dominic patrzył jej w oczy. – Erin, nie mogę się rozpraszać, bo to... bo... Nie. Idź już, proszę.

Był nieugięty. Naprawdę jej nie chce.

– Zawiadomicie mnie, jak go znajdziecie? – szepnęła.

– Oczywiście, że cię zawiadomimy – zapewniła ją Ruby serdecznie.

Więc pojechała do siebie. Robiło się już ciemno. I zimno. A może tylko tak jej się wydawało.

Marilyn radośnie ją powitała, więc przyklękła przy niej, przytuliła ją i się rozplakała.

– Marilyn, co ja mam robić? – szlochała. – Kocham go do szaleństwa. Całe Bombadeen kocham.

Marilyn odpowiedziała psim całusem, mokrym i ciepłym.

– Poradzimy sobie – chlipnęła Erin. – I ty, i ja. Będzie dobrze. Ale Nathan... i Dom...

Dominic na pewno się denerwuje, niecierpliwie czeka na jakąś wiadomość.

Powinna być przy nim, ale on nie chce.

– Jak ja mam spokojnie iść spać? To niemożliwe. Owszem, bolą mnie stopy, ale coraz mniej. W skarpetach i adidasach mogłabym go szukać.

Ale nie znasz okolicy, pomyślała przytomnie. Sama mogłabyś się zgubić. W buszu, a busz jest straszny.

– Na miejscu Nathana nie uciekałabym do buszu. –Marilyn przytaknęła ogonem. – Ty też byś się tam nie chowała. Dokąd bym uciekła? To proste. Szukałabym Doma. – Posłała Marilyn zawstydzony uśmiech. – Kompletnie zwariowałam.

Jeśli Nathan szukał Dominica, powędrował na miejsce wypadku. Nie, myślałby, że Dominic jest tu, bo po południu wyjechał z domu, żeby mnie tu zainstalować. Nathan wie tyle, że Dominic jest tutaj, i na pewno wie, gdzie jest szpital... Nagle ją olśniło. To mniej więcej trzy mile od domu Dominica, za cyplem. Nathan wie, że ojciec go szuka. Czy wobec tego poszedłby drogą?

– Ja bym nie szła drogą – zwróciła się do Marilyn. – Poszłabym plażą. W ten sposób bym nie zablądziła. Schowałabym się za jakąś skałą, żeby nikt mnie nie zobaczył.

Dzwoń do Doma i mu to powiedz! Sięgnęła po komórkę, ale... nie znała jego numeru.

Okej, przejdzie się po plaży, ostrożnie, żeby nie urazić stopy.

Szła z latarką znaną w kuchennej szafce, nie mając pewności, na ile wystarczy jej baterii. Zdecydowanie nie chciała znaleźć się jako kolejna osoba na liście zaginionych. Tak jest, przyznała w końcu, Dom miał rację. Stopy bardzo ją rozboleły. Co gorsza, skończyła się plaża. Przed nią piętrzyły się groźne poszarpane głazy. Podczas przyływu Nathan wtedy by nie przeszedł. A jeśli się postarał i przyszedł przyływ?

Powinna wracać, ale jeszcze...

Może to nieodpowiedzialne, ale zaczęła powoli wspinać się na kamienie, aż dotarła do zdecydowanie niebezpiecznej skały. Zatrzymała się, by odczekać na chwilę ciszy między hukami kolejnych fal.

– Nathaaan!

Wyteżwała słuch. Tak bardzo chciała usłyszeć odzew, że gdy nadszedł, nie dowierzała własnym uszom.

– Ratunku!

Kurczę, zadzwoni do niej. Obdzwonił już wszystkie grupy. Nathan, Nathan. I jak echo: Erin, Erin...

Wziął jej numer, żeby ją zawiadomić, jak Nathan się znajdzie. To nie jest słabość ani przyznanie się, że jej potrzebuje. Przekáže jej to, co wie.

Cztery sygnały, pięć, poczta głosowa.

Komórka jest w domu, a ona jest na zewnątrz. I chodzi nerwowo. Był tego absolutnie pewny.

Sprawił jej przykrość. Zaproponowała pomoc, a on ją odtrącił. Odesłał do domu. Kurczę, w głowie mu się mąci. Nathan musi się znaleźć, żeby on mógł skupić się na czymś innym. Na Erin.

– Mam wrażenie, że ona jest bardzo sympatyczna – odezwała się za jego plecami Ruby.

Jęknął.

– Nathan się znajdzie – rzekła z przekonaniem. – Wy stale gdzieś uciekaliście. Twoi sąsiedzi nie spoczną, dopóki go nie znajdą. – Wzięła go pod ramię. – Całe miasteczko wami się opiekuje. To całkiem niezłe jak na samotnika.

– Nie jestem samotnikiem. Mocno uścisnęła jego dłoń.

– Wiem, wiem. Ale jak już powiedziałam, ona jest bardzo sympatyczna.

– Ruby, to za wcześnie. Znamy się trzy dni.



– Nigdy nie jest za wcześnie – odrzekła ze spokojem. – Całe życie na to czekasz. Nie bądź śmieszny.

– Ona nie odbiera telefonu.

Szła ostrożnie po najeżonych skałach, świecąc sobie latarką, w kierunku, skąd ponownie dobiegło ją rozpaczliwe wołanie. Raz się potknęła i zsunęła zaledwie dwie stopy niżej, ale ze strachu serce jej zamarło. Słyszała, że dzwoni jej komórka, ale nie miała czasu się nią zająć.

Nathan znowu wołał, ale tym razem był to krzyk przerażenia. Dobiegał od strony wody. Gdy skierowała tam snop światła, kilka metrów od brzegu dostrzegła drobną postać na maleńkiej kamienistej wysepce. Przyptyw odciął Nathanowi drogę ku ścianie, na której ona się znajdowała.

Na jej oczach fala zalała chłopca i głaz. Gdy woda spłynęła, Nathan kurczowo czepiał się skały. Nie pozostawało jej nic innego, jak rzucić się mu na pomoc.

– Dlaczego ona nie odbiera?

– Nie wiem, kochany. Może nie wzięła komórki – tłumaczyła Ruby. – Zdarzają się osobniki, które dożywają późnej starości mimo nieposiadania komórki.

– Za pierwszym razem był sygnał, a teraz jest wyłączona albo poza zasięgiem. Erin na pewno jej nie wyłączyła. Martwi się tak samo jak ja.

– Mimo to odesłałeś ją do domu.

– Tak, dumny jestem. Ale teraz...

– Pewnie bateria jej wysiadła. Wy, młodzi, całe życie spędzacie, szukając ładowarek albo wściekając się, bo baterie się wyczerpały.

– Wczoraj naładowaliśmy jej komórkę.

– Może bateria zaśniedziała. – Ruby zerknęła na niego kątem oka. – Powinieneś to sprawdzić.

– Nie mogę stąd wyjść. Słyszałaś, co mówił Graham.

– Graham mówił, że masz być pod telefonem. Myślę, że Erin szuka małego na własną rękę. I podejrzewam, że jesteś jej potrzebny.

– Tak myślisz?

– Nic nie myślę. Ja jestem tylko starszą panią, która nie ma komórki. Ale siedzę tutaj i też potrafię wywabić Nathana nawet z mysiej dziury. Martin śpi. W razie czego mogę pójść po Nathana. Idź go szukać. I poszukaj Erin. – Uśmiechnęła się, po czym pocałowała go w policzek.

„Wysepka” Nathana miała najwyżej dwa metry w najszerszym miejscu. Wieńczył ją ostry grzebień, dzięki któremu fala nie zdołała chłopca zmyć.

Erin dopłynęła do wysepki na moment przed nową falą. Nakryła chłopca własnym ciałem i wpiła palce w kamienne występy, nim przewaliły się po nich litry wody. To cud, że chłopiec utrzymał się na tej skale.

– Umiesz pływać? – zapytała.

– N... nie.

– To będziesz musiał unosić się na wodzie – powiedziała. – Będę cię trzymać, ale, Nathan, jak tylko spróbujesz się mnie uczepić, utoniemy oboje.

– Boję się.

– Ja też. – Taka szczerłość poskutkowała, bo Nathan się uspokoił. Dzielny chłopak. Pięcioletni bohater. – Ruszamy. Masz leżeć na plecach, a ja będę cię trzymać. Nie próbuj się mnie chwytać, bo nie będę miała siły płynąć. Potrafisz?

– Dom przyjdzie? – zapytał drżącym głosem.

– Oczywiście. Nathe, teraz!

Nie zastał jej w domu, ale Marilyn kręciła się niespokojnie, stale podchodząc do otwartych kuchennych drzwi.

– Gdzie twoja pani? – Drapał ją za uchem. – Co z nią zrobiłaś?

W odpowiedzi Marilyn stanęła w drzwiach, nerwowo spoglądając w stronę plaży.

– Zakazałem jej poszukiwać. – Powiedział to tak gniewnym tonem, że Marilyn spojrzała na niego zdziwiona. – Uważasz, że to głupota? To, że nie chcę Erin w swoim życiu?

Marilyn sapnęła, przyznając mu rację... albo dlatego, że lubiła takie pieszczoty.

– Okej, załóżmy, że poszła plażą. W stronę mojego domu. – Powinien wezwać pomocników, zaplecze. Ale... – Wszyscy szukają Nathana. Nie chcę ich odciągać z powodu jakiejś durnej lekarki...

Którą pokochałeś...

– Tak, zgoda, pokochałem ją. Pocharata sobie nogi, pętając się po plaży – mruknął. – Ale jakie ja mam prawo kwestionować jej motyw. Marilyn, muszę ją znaleźć.

Gdy wdrapali się na skalną półkę, oszacowała, że nie ma odwrotu na plażę między jedną falą a drugą.

– Czy Dom nas znajdzie? – zapytał cichutko Nathan, a ona tylko mocniej go przytuliła. Taki dzielny maluch... I ma takiego koszmarnego ojca jak Michael.

Bardzo by chciała...

Dom przygarnia dzieci zagrożone. Gdy mija zagrożenie... Gdyby udało się jej sprostać wyzwaniu, jakim jest ten potwór, ojciec Nathana... Jeśli Dominic nie zechce Nathana ani jej...

– Moja rodzina stale się powiększa – mruknęła. – Ja, Marilyn i trzy szczeniaki. A teraz ty... Co by tu zrobić z twoim tatą? Ciekawe, co myślą moi rodzice o wnukach.

– Eeerin! Eeerin!

Jego niepokój osiągnął apogeum, gdy zorientował się, że nadciąga burza.

I to niezła.

– Co jej strzeliło do głowy?! Eeerin!

– Kuuuu!

Stanął jak wryty.

– Erin.

– Kuuuu! – Zawołanie buszmenów.

Na pewno nie poszła dalej niż głaz, który ostatecznie zagroził mu drogę.

– Kuuuu...

– Jest dalej? Dotarła tam przed przypiływem? Cholera, życie jej niemiłe?!

– Już idę, idę – odpowiedział. – Trzymaj się.

– Erin... ?

Pierwszy raz jej imię zabrzmiało w jej uszach tak słodko. Dostrzegła go w świetle księżyca, gdy wdrapywał się na ich skałę.

Milczała, pozwalając Nathanowi nim kierować.

– Jesteśmy tutaj. Dom, uważaj, idzie druga fala, szybko, szybko. Tutaj jesteśmy.

Zaraz do nas dotrze, pomyślała wzruszona. Jej wodnik.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała, oswobodziwszy się z jego objęć.

– Marilyn mi pokazała, gdzie jesteś. – Siedzieli przytuleni, z Nathanem wciśniętym między siebie.

– Ja uratowałam ją, a ona mnie. Ale, Dom...

– Słucham.

– Podejrzewam, że rzucając się do morza, nie pomyślałeś, że stąd nie ma odwrotu, a moja komórka zamokła. Woda coraz wyższa, a twój telefon też się kapał.

– Tak, ale zadzwoniłem wcześniej.

– Jesteś wspaniały – odparła uradowana, chociaż nie miała powodu do radości. Była przemoczona, poobijana i obolała, ale nie posiadała się ze szczęścia, bo ten człowiek wystawił się na takie samo ryzyko jak ona.

– Kocham cię – powiedział niespodziewanie.

– Co... takiego?

– Słyszałaś. – Posadził sobie Nathana na kolanie. – Nathe, jak myślisz, słyszała?

– Powiedziałeś, że ją kochasz. Dlaczego?

– Dobre pytanie.

– Hm... Dominic...

– Słucham, kochanie. – Powiedział to tak słodko, że pomyślała, że się utopiła i jest w niebie.

– Hm... podobno kogoś poinformowałeś, dokąd się wybierasz.

– Przekazałem Grahamowi, że podejrzewam, że jesteś na Moonlight Bluff i że jeżeli nie odezwę się za dziesięć minut, ma tu przysłać śmigłowiec.

– Niemożliwe – szepnęła.

– Możliwe... dla supermana – dodał skromnie.

– Hm... Jaką mamy pewność, że śmigłowiec jest wolny, nie poleciał gdzie indziej?

– Żadnej. Więc na wszelki wypadek poprosiłem jednego z rybaków, żeby tu podpłynął z reflektorami i oświetlił skałę. Jak się okaże, że nie ma śmigłowca, to chłopcy Grahama spuszcza się z góry, żeby nas stąd podjąć. – Skrzywił się, gdy fala chlapnęła mu na udo. – Niech oni się pospieszą, bo robi mi się zimno.

– Zamówiłeś też grzejnik i gorącą zupę?

– Zapomniałem – przyznał. – Ale... o czym to mówiłem? Aha, tak. Kocham cię. Auu, jaka ta woda zimna.

– Nie obchodzi mnie zimna woda. Muszę się dowiedzieć, jak to się stało.

– Do tej pory uważałem, że co nagle, to po diable. Na przykład małżeństwo, ale ten wypadek Ivana... Kiedy uprzytomniłem sobie, że mogła w nim zginąć cała rodzina... Wiesz, co sobie wtedy pomyślałem? Że przynajmniej mają siebie nawzajem. Gdybym umarł teraz, na co się zanosi, bo ta woda cholernie zimna...

– Nie marudź, opowiadaj. Westchnął.

– No więc, gdybyśmy teraz zginęli, co, Nathe, się nie stanie, bo mój plan jest doskonały, nie miałbym szansy na choćby jedną noc z moją ukochaną.

– Z kim? – Nathan szczykał zębami wyraźnie skołowany, ale starał się być na bieżąco.

– Z Erin.

– Już spędziłeś z nią jedną noc. Dzisiaj. Po pożarze spaliśmy razem przed kominkiem.

– Masz rację, zapomniałem. Ale to chyba za mało. Chciałbym więcej wspólnych nocy. Jak zobaczyłem twoje ślady, które prowadziły do skały, przestraszyłem się, że was stracę. Oboje. – Głos mu się załamał. – Przyznaję, że się zakochałem. Miłością od pierwszego wejrzenia. Trudno mi w to uwierzyć, ale to prawda. Nathan, powiedz Erin, że jestem bardzo rozsądny. I nigdy nie ryzykuję.

– Więc to, że się tu do nas wdrapałeś, zamiast zaczekać na śmigłowiec...

– Chyba że ryzyko jest niezbędne, żeby ratować tych, których kocham. Widzisz, kochanie moje, moja matka co chwila się zakochiwała, aż uznałem, że nie ma czegoś takiego. Ale teraz na plaży dotarło do mnie, że matka miała rację. Dokonywała złych wyborów, ale to ma sens. Pokochałem cię i zrobię wszystko, żebyś zawsze była ze mną... Bez ciebie nie przeżyję.

– Nie wiesz, co mówisz.

– Nie wiem. – Uśmiechnął się łobuzersko. – Naucz mnie. Naucz mnie kochać.

Zza cypla wychynął snop światła. Przez chwilę omiatał urwisko, aż zatrzymał się na kobiecie, mężczyźnie i dziecku. Mężczyzna i kobieta całowali się, jakby nadchodził koniec świata.

Mężczyzna, kobieta i dziecko – rodzina.

Kwadrans później zawisł nad nimi śmigłowiec. W samą porę, bo woda już podchodziła pod ich półkę. Jeden po drugim ratownicy spuszczaali się po nich z uprzężami. Najpierw podjęli Nathana, potem Erin, na końcu Dominica. Na szczycie witali ich Graham i chyba wszyscy mieszkańcy Bombadeen, a wśród nich Ruby z zaspanym Martinem na rękach. Gdy przytuliła Dominica, chłopiec się otrząsnął.

– Uee!. Jesteś mokry.

– I zmarznięty – dodał ratownik, podchodząc z kocem.

– Nie trzeba. Gdzie Erin i Nathan?

– W karetce. Nathan jest bardzo wychłodzony, ale pewnie nie zechcesz, żebyśmy zabrali go do szpitala.

– Jacy by z nas byli lekarze, gdybyśmy nie potrafili się nim zająć? – Sam jednak trząśł się z zimna.

– Dobra, dobra – powiedział ratownik. – Najpierw trzeba cię rozebrać i ogrzać.

– Rób, co ci każą – wtrąciła się Ruby. – Bo inaczej sama zawiozę cię do szpitala.

– Ciekawostka...

– Uważaj, bo dostaniesz w ucho – pogroziła mu Ruby, a on zorientował się, że ona nie żartuje.

– Hm... Ruby, co ty tu robisz?

– Chcieliśmy z Martinem popatrzeć. I chcieliśmy zobaczyć cię z Erin. Happy end. Idź do karetki się ogrzać. Ona tam jest. – Zerknęła na ratowników. – Zabierzcie go. Ale nie zamykajcie drzwi.

Nie miał wyboru, bo silne męskie ramiona wepchnęły go do środka. Erin siedziała na noszach otulona kocem, przytulając Nathana.

– Doktorze, całusa! – zawołał ktoś z zewnątrz.

– Akurat – mruknął, próbując zatrzasnąć drzwi, ale ratownik nie puszczał klamki.

– Chyba musisz ulec presji tłumu – rzucił z uśmiechem. – Chłopaki z łodzi rozgadali, że się całowaliście, jak do was podpłynęli. Wie o tym już cała gmina. Prawie wszyscy brali udział w poszukiwaniu chłopaka. Domagają się happy endu.

– Że ją pocałujesz. Jak w kinie – odezwał się drugi głos.

– Pocałuj nową panią doktor!



Emocje to nie jego specjalność... do dzisiaj. Ani występy publiczne. Dominic Spencer szedł przez życie samotnie. Co z tego, że tłuścza domaga się, by pocałował panią doktor?

Po co się stawiać? Samotny marsz przez życie jest dla idiotów, uznał. Wraz z tym odkryciem opuściły go wszelkie obiekcje wobec miłości od pierwszego wejrzenia. Tak, nie ma wyboru. Co gorsza nie mógł stanąć w karetce. Więc przykląkł. Na jedno kolano.

– Erin, zostaniesz moją żoną? – Usłyszał, że świadkowie tej sceny wstrzymali oddech.

– Idiota – odparła, ale oczy się jej śmiały.

– To tak się przyjmuje oświadczyzny?

– Nie wiem. Dopiero drugi raz mi się to przydarza.

– Więcej powtórek nie będzie. Kocham cię. Uśmiechnęła się rzewnie.

– Kocham twoich chłopców.

– A ja kocham twojego psa.

– I kocham Bombadeen. Och, i Ruby jest wspaniała.

– Erin...

– Hm?

– Poprosiłem cię o rękę.

– Przecież nie wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia.

– Znamy się już trzy dni. Dłuższych zalotów nie zniosę. No więc?

Wyjdiesz za mnie?

– Pod warunkiem, że będziesz się ze mną dzielił.

– Czym?

– Dzieciakami, domem, pacjentami. – Spoważniała. – Swoimi marzeniami, lękami. Sobą.

– Będę się dzielił – obiecał bez wahania.

Uśmiechała się coraz bardziej wzruszona, a jej serce śpiewało pieśń miłości.

– Zostaniesz moją żoną? – nalegał. Zerknęła na zebranych przed karetką.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że się od tego nie wykręcisz? – zapytała.

– Dlaczego miałbym się wykręcać?

Zsunęła się z noszy tak, że uklękła przed nim, po czym wzięła go za rękę.

– Tak – szepnęła, po czym powtórzyła głośniejszym głosem, żeby wszyscy usłyszeli. –

Tak, wyjdę za ciebie.

Powiedziałyby to jeszcze kilka razy, gdyby nie zamknął jej ust wargami.

Dzięki skomplikowanym i przemyślnym manewrom udało im się wymknąć w podróż poślubną tylko we dwoje. Ruby zabrała chłopców do Dolphin Bay, a Charles zaofiarował się na ten czas przejąć obowiązki miejscowego lekarza, podczas gdy Tansy obiecała zaopiekować się psami. Od tamtego pamiętnego dnia Charles bardzo często odwiedzał Bombadeen.

W życiu chłopców również zanosilo się na zmiany. Dominic i Erin złożyli wniosek o adopcję Martina i Nathana. Ojciec tego drugiego wylądował w więzieniu na długo, a matkę Martina ostatnio widziano w Nepalu, ojciec zniknął bez śladu.

Co jeszcze? Tansy wzięła dwa szczeniaki, jednego dla siebie, drugiego dla Charlesa. Trzeciego Erin sprezentowała rodzicom jako towarzystwo dla pudlicy Poppy.

Siedzieli teraz z szampanem na tarasie z widokiem na bajkową lagunę.

– Za miłość od pierwszego wejrzenia. – Dominic uniósł kieliszek. –

Teraz do końca życia będziemy się poznawali.

– Ja już cię poznałam. Moje serce od razu to wiedziało.

– Tak sentymentalnie?

– Bo to bardzo sentymentalna historia.

– Tak, to prawda. – Wstał z fotela. – Serce moje, zatańczysz?

Przytaknęła. Więc tańczyli, mimo że nie rozbrzmiała muzyka, bo muzykę mieli w sercach.

– Gdzie się podział ten zatwardziały samotnik? – szepnęła, wtulając w niego twarz.

– Być może nigdy nie byłem samotny – odparł cicho.

– Od kiedy Ruby wzięła mnie pod swoje skrzydła, od kiedy biorąc z niej przykład, pomagam innym dzieciom, od kiedy znalazłaś się w moim życiu, od kiedy zostałem hodowcą psów... Gdzie zaczyna się miłość?

– A gdzie się kończy?

– Miłość nie ma końca. – Kołysali się w rytmie walca.

– Wiesz, co jest takie fajne w rodzinie?

– Co?

– Rodzinę można wykorzystywać – odrzekł z zadowoleniem. – Mamy dzieci i psy, ale mamy jeszcze twoich rodziców, Ruby, Tansy i Charlesa. Pięcioro fantastycznych opiekunów do dzieci. Więc jak będę chciał mieć moją piękną żonę tylko dla siebie...

– Po co?

– Zaraz ci pokażę...